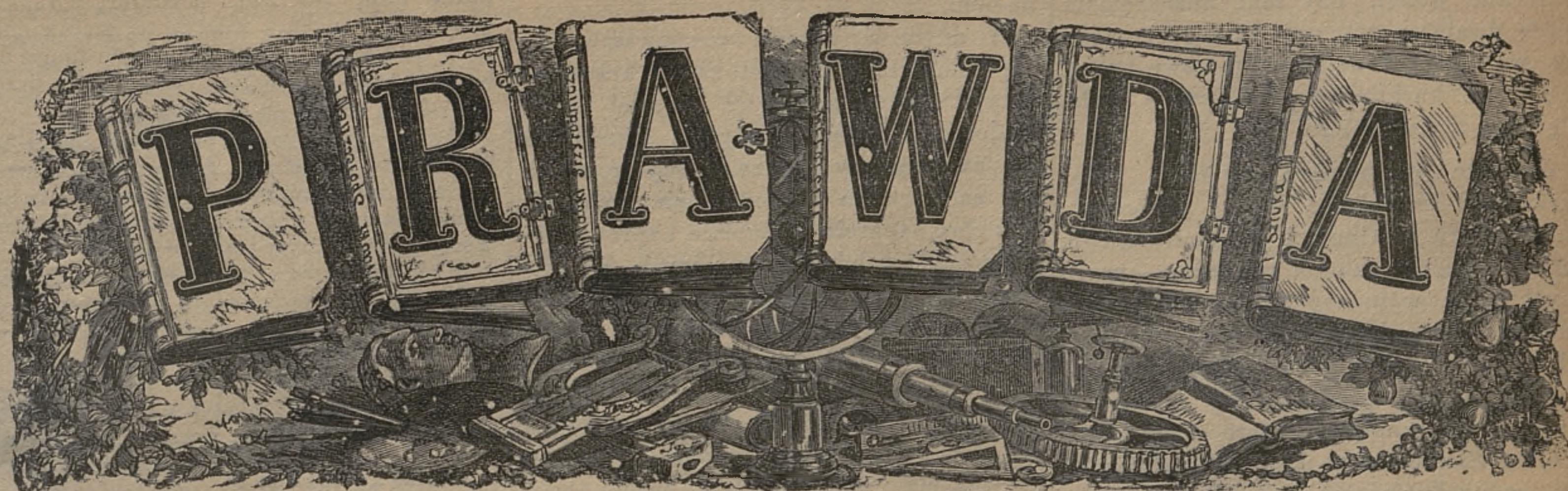
№ 15. Warszawa, dnia 14 (2) Kwietnia 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Odpowiedź redakcyi.

Jeden z poważnych ziemian przesłał nam obszerną krytykę naszego stanowiska wobec „szlachty polskiej" i wyjaśnienie jej „posłannictwa." Żałujemy mocno, że zarówno wola autora, jak i motywy jego sądów nie pozwalają nam pomieścić tego wywodu; sądzimy wszakże, że nie będzie bez pożytku publiczna z naszej strony na kilka punktów odpowiedź.

Pod nazwą szlachty szan. przeciwnik nasz pojmuje tę klasę, ktora „zajęła dziś środek między dwoma krańcami producentów rolnych (ludem i arystokracyą) i która pomimo znacznych przymieszek rozmaitego pochodzenia ciągnie nieprzerwaną, choć często sztucznie związywaną nić swych rodów od pasma, tworzącego główną tkaninę dziejów polskich." Otóż prasa postępowa, a w jej szeregu *Prawda* „rzuciła w potok bieżącego życia namiętne hasło: szlechcic, zatem pyszałek. marnotrawca, ograniczony, leniwiec." Czy tak?

Jeżeli taki pozór uderza kogoś w oczy, winna temu nie prasa postępowa, nie żaden jej organ, ale osłaniające swemi skrzydłami arkę szlachecką cherubiny. Społeczna logika nasza zwykle bieży po takich pewnikach: ksiądz, *więc* zacny, szlachcic *więc* szanowny przedstawiciel narodu. Bezwzględna trąba chwały nie zniża tonu nawet dla uwydatnienia różnic, nie milknie nawet przy widocznych ujemnościach. Jeżeli więc odezwie się jakiś głos krytyczny, musi on przedewszystkiem zakwestyonować: 1) ryczałtowość uwielbień a 2) ich wyłączność. Przelotne umizgi naszych socyologów dla innych klas społecznych są zwykle tylko przebiegłą rachubą, albo wymuszoną grzecznością. W istocie szerokiem poważaniem cieszą się u nas tylko dwie warstwy: szlachta i księża. Lud, mieszczaństwo (zwłaszcza żydowskie), urzędnicy i inne żywioły doznają albo wzgardy, albo wspaniałomyślnej łaski. Pomimo wszelkich protestów (zwłaszcza przedkwartalnych) w pismach nie przestaniemy utrzymywać, że społeczeństwo nasze nie jest o tyle zdemokratyzowane, o ile dzisiejsza cywilizacya i nasze własne interesy wymagają. Rzecz bardzo naturalna, że tak niesprawiedliwy nacisk opinii musiał wywołać reakcyę, której natężenie zrodziło pozory postępowego sofizmatu: szlachcic, zatem...

Mówimy pozory, gdyż my przynajmniej stanowczo wypieramy się tego nielogicznego dziwoląga. Owszem, nietylko wierzymy, że w „szlachcie" naszej istnieje pewien procent ludzi wysoce światłych, prawych i dorosłych do spełniania obowiązków obywatelskich, ale nadto przyznajemy jej ogółem cenne przymioty. Przedewszystkiem jest ona przeważnie uczciwą, może częściej z poczucia honoru niż z zasad, podtrzymuje wysoko rozwinięte formy stosunków obyczajowych, posiada serce czułe i do uniesień skłonne. Ale, niestety, społeczeństwo żyje nietylko honorem, elegancyą i sercem, ono potrzebuje także rozumów, uzdolnień praktycznych i ścisłego zazębienia się kół swej maszyny. Tego właśnie szlachcie naszej brak. Wykształcenia nie uważa za konieczne ani dla siebie, ani dla dobra kraju, w sprawach umysłowych poddaje się księdzu a w praktycznych najmizerniejszemu faktorowi, na inne zaś klasy społeczne spogląda z wysokości ludu wybranego, który musi się liczyć z rozmaitemi koniecznościami, ale racyi ich bytu nie uważa. Mieszczanin jest zawsze dla nietylko łykiem, urzędnik — łapownikiem, żyd — oszustem, chłop — chamem, literat — głodomorem, tak że gdyby zaczęła filozofować, niezawodnie spytałaby zuchwale Boga, po co te gatunki stworzył, a przynajmniej dopóki je utrzymywać zamyśla.

„Żywią w swej piersi nigdy niegasnący ogień miłości dla kraju" — powiada autor wspomnianej repliki. Przypuśćmy, że prawda — czy tylko oni? Dla czego ów ogień widzimy tam — nawet w iskierkach, a nie dostrzegamy go gdzieindziej — w płomieniach? Jest to ta sama śpiewka wyłączności: wybrani posiadają zarówno pewne uczucia, jak pewne prawa. Chłop dotąd nie wierzy, ażeby lekarz, który do niego przyjeżdża bez pejsów i chałata, mógł być „żydem," a pan nie wierzy, ażeby nie szlachcic na folwarku był „obywatelem." Zresztą, tyle warta miłość, ile modlitwa bez czynów. Puszczaniem szumnych słów z wiatrem i zapewnianiem o swym patryotyzmie nikt jeszcze drzazgi z za paznokcia nie wyjął, a tem mniej ogółu nie dźwignął. Co po wszystkich aryach patryotycznych, jeśli ich akompaniamentem będzie marnotrawstwo, zacofanie, krzyki na postęp i ambicye kastowe?

Trzeba wszakże autorowi, który te nasze uwagi wywołał, przyznać słuszność w tem spostrzeżeniu: „Owa pycha i pretensye do wyłącznego przedstawicielstwa narodu są nie tyle wyrazem przekonań zgnębionej, zrujnowanej i upokorzonej szlachty, ile ruchem rozpędowym a często bezmyślnym naszych teoryj socyologicznych, których przesadę i niewczesną gorliwość wy na skórze naszej młócicie." Ale z drugiej strony i to pewna, że owe „teorye" uwiodły wielu zasłuchanych w dawne czasy i niesłyszących głosu teraźniejszości. Prostoduszny a do odgrywania roli milczącego bohatera w dramacie chętny „szlachcic," w którego ciągle gazety i książki wmawiają wysokie „posłannictwo," nakoniec wierzy w nie i przysiągłby, że pochylenie ziemi ku elipsie jest skutkiem jego wagi. Zawiedziony, zgnieciony niemiłosiernie przez los, czasem gorzko się uśmiechnie ze złudzeń, a czasem, jak grand hiszpański, posi z duma

których wszyscy po za jego kastą ledwie ucałować godni. Czy taki anachronizm może działać pożytecznie tam, gdzie szybko wyrastają i dojrzewają nowe twory społeczne, ku którym przesuwa się punkt ciężkości życia ogółu?

Jakimże promieniem zatoczyć koło, w którem działalność naszej „szlachty“ zawrzeć się powinna i uszanowaną być może? W materyalnym kierunku — przemysł rolny, w duchowym — podniesienie oświaty i moralności ludu oraz pożądany (dla ogółu) wpływ na instytucye gminne. To jest jedyne „posłannictwo szlachty,“ które my wyznajemy i które ona spełnić zdolna. Ziemianin to nie poseł *in potentia*, ale przemysłowiec, taki sam jak fabrykant sukna lub mydła, o tyle chyba od innych różny, że jego warsztatem jest ziemia. Tytuł „obywatelstwa,“ jako godność zmonopolizowana w jednej klasie, ma zupełnie tę samą racyę, co przywłaszczony przez nią tytuł człowieka. Obywatelami są, zarówno w prawnem jak moralnem znaczeniu, wszystkie dzieci wspólnego kraju, tworzące łączny organizm zbiorowy.

Co do wpływu na lud, nie kryjemy trudności, które go tamują. Zauważymy przecież, że gdy wolny, ale ciągły postęp rozdziału własności usuwa źródła wzajemnej nienawiści i nieufności oraz wprowadza stosunki wiejskie w prawidłowszą kolej, „szlachcie“ naszej otwiera się coraz szersze pole skutecznego działania na swych ciemnych i przez tę ciemnotę nieszczęśliwych sąsiadów. Gdzie chłop przestał być szkodnikiem, gdzie mu już nie trzeba liczyć bydła na pastewniku a fur drzewa w lesie, tam można go uszlachetniać i oświecać. Rozdzieranie szat kapłańskich na wyłomie ojcowizny zdobytej przez parcelacyę jest w najlepszym wypadku elegią nad dębem, który podcięty na ziemię się wali. Proces to konieczny i chociaż od strat nie wolny, w ostatecznym jednak wyniku dobroczynny. Z owego dębu powstaną klepki, sprzęty i drzewo na opał.

A zatem w naszem przeciwstawianiu się „szlachcie“ nie brzmi żaden krzyk sekciarski, żadna nienawiść do całej klasy społecznej, żadna bezmyślna strzelanina do pewnej grupy ludzi za to jedynie, że ich los na pewnych stanowiskach rozstawił, lecz chęć odparcia uroszczeń i sprowadzenia rozdętych lub rozdymających się ambicyj do praw słusznych i rozumnych. Może nasze ideały, przeniesione w daleką przyszłość, nadałyby inną postać stosunkom społecznym; ale w dzisiejszym ich układzie, uwzględniając konieczności rzeczywiste a nie warunki urojone, widzimy i uznajemy „posłannictwo“ każdej klasy a więc i „szlachty:“ ekonomiczne—w przemyśle rolnym, moralne — w pracy nad ludem. Że takie pojęcie owej misyi znosi kastę, znosi „szlachtę“ i tworzy tylko równouprawnionych z innymi przemysłowców i obywateli—nie taimy. Ale też z pióra naszego łzy żalu i tęsknoty za tą spuścizną nie płyną.

A. S.

Na grobie sławy.

Na gruzach dobrej sławy dra Kamińskiego toczy się teraz zacięta walka. Rotowym ogniem krzyżują się z sobą najsprzeczniejsze opinie i sądy. Jedni pragną wydobyć z pod rumowisk gadzinę upodlenia i zgnilizny, inni sądzą, że w ogniu ich obrończych argumentów narodzi się z popiołów feniks rehabilitacyi.

Mamy właśnie przed sobą broszurę dra L. Wolskiego: *Zarys historycznego przebiegu sprawy Schwarz-Länderbank-Kamiński.* Z tytułu tej rosprawy widać, iż autor, nie chcąc bynajmniej zasiadać ze swym przyjacielem na ławie oskarżonych, daje mu za towarzyszów z jednej strony barona — milionera, z drugiej zaś — poważną instytucyę finansową. Stosunek Wolskiego do sprawy nakazuje wszelką ostrożność w czytaniu tego referatu; poznajmy jednakże treść jego, abyśmy kiedyś, po zestawieniu jej z wynikiem badań sądowych, mogli albo oddać hołd prawdzie, albo szalę przewinień do należytej obniżyć skali.

Dwie różne części broszurki sprawiają na umyśle czytelnika dwa odmienne wrażenia, których zupełna sprzeczność nie pozwala mu wyjść z niemiłego chaosu. W pierwszej części autor jest gorliwym obrońcą stanisławowskiego burmistrza, w drugiej staje się surowym sędzią i prokuratorem tych wszystkich, co w nieszczęsnej sprawie jakikolwiek udział przyjęli.

Rozejrzyjmy się w części pierwszej.

Dr. Kamiński występuje w niej, jako człowiek do gruntu uczciwy, który nie pierwej zawarł ugodę z baronem, aż go zobowiązał na piśmie, że „jeśli budowę kolei obejmie, zatrudni przy niej przeważnie rodowitych galicyan, jako urzędników, robotników itp.“ Takie oddanie pierwszeństwa sprawom ogólnym przed interesem osobistym dobrze świadczy o nieszczęśliwym burmistrzu. Cóż z tego kiedy powaga innych świadectw, jakie mu przyjaciel-adwokat wystawił, wydaje się wielce podejrzaną. Oskarżony stanowczo wprawdzie „zaprzecza przekupstwu“ i pomyślne dla barona zakończenie licytacyi składa na karb swoich całkiem godziwych starań i zabiegów, ale trudno jest nie spytać, co znaczą wszelkie uczciwe zabiegi w interesie, gdzie główną sprężyną zwycięstwa jest *najmniejsza wysokość oferty licytanta* i gdzie skalę tej wysokości zmierzyć można dopiero *po otwarciu kopert?* Nie nadając tym pytaniom znaczenia insynuacyi, wykazujemy tylko nieudolność obrońcy. Bo i jakie to mogły być owe zabiegi? W zbiorze ich dr. Wolski wywiesił na pierwszym miejscu „kosztowne plany i kosztorysy budowy.“ Naiwność tylko przypuszczać może, iż którykolwiek z przedsiębiorców przystępował do licytacyi, nie mając dokładnych planów, kosztorysów i „innych dat,“ których zdobycie nie wymaga ani zbyt rozległych stosunków, ani nadmiernej siły pieniężnej.

A jednak dr. Kamiński może być uwolnionym od zarzutu *bezpośredniego* przekupienia sfer administracyjnych. „Zabiegi“ swoje i „starania“ rozwiął on nie sam jeden, lecz w towarzystwie dwóch niemców:

---

[2])

STARY... ŻART.

Z głową, wsuniętą w ramiona, z rękami w kieszeniach, wszedł do bocznej ulicy szerokiemi krokami.

Tu ciemniej było, niż w głównej alei, olbrzymie drzewa nie dopuszczały blasku gwiazd; dal wyglądała niby ciemna masa, przerznięta użwirowaną drogą, zwężającą się stopniowo.

Na pustych ławkach walały się tu i owdzie zapomniane kwiaty, arkusze przeczytanych gazet. Przed godziną jeszcze ulice roiły się tłumem spacerujących, teraz całe życie skupiło się w klubie i pod oknami, a tylko gwar letniej nocy ożywiał spustoszałe ulice. Wśród liści trzepotało się rozbudzone ptactwo, odzywało się zcicha i milkło, żeby po chwili zabrzmieć w sąsiednim drzewie. W trawie brzęczały świerszcze, przedrzeźniając śmiałym, donośnym głosem brzęk komarów, szmer muszek i motyli, których życie zaledwie wraz znocą się zaczyna. Gwar ten tłumiły tony walca. Jak echo dalekie przekradały się przez zarośla, szumną falą rozlewały się po ulicach, nierównem, urywanem tępem skakały po oddalonych drożynkach. Nie było miejsca, gdzieby się nie zakradły. Czem dalej, tem miększe, drażniące, łechtały ucho, odurzały głowę, niby woń namiętności, zmięszana z pobłażliwą ciemnością nocy!

Powoli owładnęły nawet uwagę jenerała; zwalniał kroku, otrząsając małym palcem popiół z cygara, nadstawiał ucho; myśli snuły się bezładniej, niedokończone ustępowały przed lekką, swawolną cząstką walca, powtarzającą się kilkakrotnie. Z początku tylko głowę w takt poruszał, potem zaczął pogwizdywać zcicha... dla siebie; w końcu usta zadrgały mu uśmiechem, mrużył lewe oko, raz nawet poruszył plecami trzpiotowato. Sztywne nogi stąpały lekko, odmłodzone o lat dwadzieścia. Koło niego posuwały się zrzadka pary szepcząc; gdy się równał z niemi, szept cichł, głowy pochylały się ku sobie — korzystano z przerwy, żeby dopowiedzieć resztę wzrokiem. Wymijał je wyprostowany, a gdy przeszły, spoglądał za niemi nieznacznie, uśmiechał się i gryzł dalej zagasłe cygaro.

Na końcu alei ujrzał kobietę idącą śpiesznie; uroda, ruchy, wzbudziły w nim wspomnienie, co jak iskra elektryczna wstrząsnęło całym jego szkieletem. Obejrzał się — kobieta znikła na zawrocie. Stanął wpatrzony w to miejsce, gdzie ją ujrzał.

— Złudzenie — szepnął półgłosem i mrugał powiekami, jakby usiłował przejrzeć jaśniej. Złudzenie.

Przyłożył rękę do czoła.

— A jednak to ona! Tu!

Ta myśl zabłysła nagle w głowie, rozkołysanej tonami walca. Na tych samych wodach, przed dwudziestu laty!

— Cha, cha, cha — zaśmiał się jakimś szeleszczącym śmiechem, niby poruszenie skrzydeł ogromnego ptaka.

Miłe ciepło rozlało się w piersiach, przełknął ślinę kilkakrotnie.

— Tak, tu — powtarzał, przebiegając ulice.

Wspomnienie dokończyło tego, co walc zaczął: rozgrzało krew, rozbudziło życie, ale życie młode, dawniejsze, z którem wyglądał, jak trup naelektryzowany. Z pod uśmiechniętych ust wybiegały zęby zczerniałe, oczy błyszczały jak paciorki, powtykane w woskową maskę.

— Co się z nią stało? Wstąpiła na scenę podobno? Śliczne było dziewczę! Zosia czy Dosia? jeśli nie Antosia? Dawno już miałem do czynienia z tym kalendarzem! Zosia! przypominam sobie, śliczna blondyneczka, z czarnemi oczyma... *mon genre!* Umiała kochać! Ale uparta i ambitna; żeby trafiła była na mniej trzeźwego... mogłaby oplątać na zawsze! Szalałem za nią trochę! Nie jedną dobrą chwilkę jej zawdzięczam! *C'etaient mes adieux à la jeunesse!* Ostatni żart przedślubny! Złote to były czasy! A zdrowie moje wówczas! Czy się spodziewałem, że przyjadę tu kiedyś z katarem żołądka, podagryczny, z początkami anewryzmu! Oh, złote to były czasy! Gdzieś tu niedaleko mieli swój domek. mieszkałem u nich przez cały sezon, apar-

nadinżeniera Leopolda Hausera i ajenta czeskich fabryk Hermana Schirmera; możliwym był więc taki podział pracy, iż na burmistrza przypadł trud zdobywania tylko „kosztownych planów,“ ale niestety możliwość niczego nie dowodzi.

Jeżeli wraz z Wolskim uwierzymy w godziwość „starań“ i niewinność „zabiegów“ Kamińskiego i spółki, jeżeli przypuścimy, że burmistrz sam wierzył w czystość popieranej przez siebie sprawy, że był tylko „uczciwym faktorem,“ to wtedy sądząc go etyką dzisiejszych stosunków ograniczymy winę jego do minimum. Streszczać się ona będzie w słowach następujących: Kamiński, jako poseł, nie powinien był wchodzić w żadne ugody pieniężne, w żadne nawet uczciwe pośrednictwa. Przekroczenie tego przepisu obraziło, nie powiemy moralność samą, ale jej *etykietę*. Małe to przewinienie zwiększy się jednak do znacznych rozmiarów, gdy przypomnimy sobie, iż lekkomyślność byłego posła nie uwzględniła naszych stosunków politycznych i nie dojrzała wyszczerzonych na Koło polskie zębów niemieckich.

Co do samego autora broszury, to wina jego jest znacznie mniejszą: nie mówionoby nawet o niej wcale, gdyby p. Wolski z powołaniem adwokata nie był łączył w swojej osobie godności poselskiej. Jeżeli posiadał przeświadczenie o niewinności swego klienta, jeżeli wierzył w godziwość użytych przez niego środków, to ciążyłby na nim jeden tylko zarzut rozgłoszenia fatalnej sprawy. Z zarzutu tego oczyścił się jednak autor w swej broszurce zupełnie: wykazał on bowiem, iż zrobił wszystko, co zdołał dla uniknięcia rozgłosu uczynić. Czy owo fatalne „jeżeli“ mogło nie istnieć dla osoby dobrze całego interesu świadomej — dla adwokata — wykaże niebawem śledztwo sądowe; tymczasem jednak od odpowiedzi twierdzącej powstrzymuje nas *druga część broszury*. Poznajmy bliżej jej zawartość.

Pod pręgierzem opinii publicznej postawił tutaj dr. Wolski osłoniętych leciuchną gazą: Schwarza, Länderbank i cały tłum bladych sylwetek z Koła polskiego. Nie oskarża ich były poseł lwowski wprost i bezpośrednio: powinność prokuratorską pełnią za niego opisane przezeń fakty. Podczas bowiem, gdy hr. Stadnicki, jeden z dygnitarzy banku, oświadcza w Kole, iż pieniądze wydawano różnymi czasy, różnym osobom, których nazwisk nie chce wymienić, baron Schwarz ogłasza *urbi et orbi*, że całą sumę 630,000 podniósł *sam jednorazowo*, że część tej sumy poszła na pokrycie kosztów przedwstępnych, reszta zaś spoczywa u niego w gotowiznie... Co znaczy ta rażąca sprzeczność i co się ukrywa pod jej ohydnym płaszczem? Co znaczy dalej owa wspaniała pogarda niektórych posłów względem uczciwych oszczerców, pogarda, której zaniechać musiano potem, gdy głos opinii zmusił kogo należy do wytoczenia śledztwa parlamentarnego? Nie gardzić należało, ale wyświetlić i jeszcze raz wyświetlić. Opieszałość w tym kierunku tłomaczy się naszą chorobą chroniczną, brakiem politycznego taktu, ale dziwić się nie można, iż w zestawieniu ze szwarcowsko-bankowemi szacherkami opieszałość ta boli i razi więcej może niż potrzeba.

Zarządzenie śledztwa parlamentarnego uderza nas nieprzyjemnie tylko z powodu swej niewczesności. Należało to uczynić pierwej. Nigdy jednakże nie możemy się zgodzić, aby postępek taki był zbytecznym; dla tego też nazwa *czułostkowości parlamentarnej*, jaką śledztwu nadał redaktor wiedeńskiej *Tribüne*, wydaje nam się co najmniej... interesowną.

Cokolwiek się okaże, w drugiej części broszury rzucił autor gruby cień na biednego burmistrza, a tem samem i na siebie. Sprawa, wymagająca kłamstwa, nie może być całkiem czystą; żeby zaś obaj b. posłowie o brudach jej nie wiedzieli, przypuścić trudno.

J. K. F.

KLĄTWA RABINÓW.

Konserwatyzm z pejsami jest rodzonym bratem wstecznictwa z podgoloną czupryną. Na dnie obojga skrzypią zardzewiałe sprężyny egoizmu, a jedynym środkiem, który te dźwięki niemiłe łagodzi, jest oliwa zakrystyjnych lub bóżnicznych kaganków. Przekonywamy się o tem raz jeszcze, czytając broszurę p. Zygmunta Frylinga p. t.: „Klątwa“ galicyjskich rabinów i cudotwórców.“

Najdzielniejszym organem fanatyków żydowskich w Galicyi jest stowarzyszenie „Mochsike Hadas,“ założone przed czterema laty wraz z dziennikiem tegoż nazwiska „pod egidą krakowskiego rabina i posła do Rady Państwa z Kołomyi p. Schreibera i rabina miasta Bełza, znanego między husytami pod nazwą „Der Belzer.“ Zadaniem stowarzyszenia jest wyparcie postępowców żydowskich ze wszystkich stanowisk urzędowych i oddanie ciemnej, sfanatyzowanej rzeszy izraelskiej w ręce „prawowiernych rabbi.“ Drogą do tego celu wiodącą jest naturalnie agitacya na rzecz zagrożonej religii i najdroższych tradycyj, ostatnim zaś wyrazem „zacnej gorliwości“ — przytoczona w nagłówku anatema.

Ostrze gromów, jadem oszczerstwa zatrutych, skierowali wstecznicy przeciwko wszystkiemu, co w łonie galicyjskiego żydowstwa odzywa się żywszem tętnem postępu i swobody ducha; najcięższe jednak ciosy mają spaść na głowy dwóch posłów do Rady państwa — d-rów Zuckera i Merunowicza. Ci bowiem dwaj nieszczęśliwi mieli szatańską bezczelność popierać gorąco u rządu przymusową dla wszystkich żydów oświatę, zniesienie *chederów* i zrównanie potomków Jakóba w prawach i obowiązkach z resztą ludności. Biedni pionierowie! Kilkanaście tysięcy białych świstków z czarno wypisanem przekleństwem rozleciało się po kraju, aby o bezbożności ich braciom obwieścić i w przyszłości godność poselską wszystkim odstępcom odebrać.

Na zabiegi wsteczników władze wyższe i niższe z klasycznym patrzą spokojem... W Wiedniu bezkarnie wychodzi pismo, którego poglądy są tylko niewolniczem echem schreiberowskiego fanatyzmu, a we Lwowie pan dyrektor policyi nie umie wyjednać dla przedstawicieli prasy wstępu na separatystyczny wiec żydowskich obskurantów...

Że centraliści niemieccy zasadę: *divide et impera* wymazują z katechizmu swego jakimś łatwo dającym się zeskrobać czernidłem — to rzecz widoczna; ale żeby w najwyższych sferach rządowych nie znalazł się bodaj jeden światły mąż stanu, któryby powiedział Habsburgom, że polityka ich w kierunku słowianizacyi pań-

---

tament nie był paradny, ze wszystkich sprzętów Zosia jedna miała pewną wartość...

Wyszedł z parku, obejrzał się w prawo, w lewo; po obu stronach ciągnęła się szeroka, piaszczysta ulica, domy, oddzielone od siebie ogrodami, drzemały w ciemnej zieleni.

— Mieścina tak się zmieniła, że możebym i nie trafił. Na prawo zdaje się, w dół, nad rzekę!

Poszedł w tym kierunku, uśmiechnięty, podrygujący. Strzelał oczami na wszystkie strony; w pamięci coraz wyraźniej rysował się domek w krzewach bzu, jaśminu i róż, a nad każdym krzakiem, nad każdym kwiatkiem niemal majaczyła jedna i taż sama twarzyczka, owalna, świeżutka, z dołkami na policzkach, z czarnemi, szeroko otwartemi oczyma. I siebie widział młodym, przystojnym, chwytającym w lot wszystko, co się chwycić dało, jak sięgał przez okno po kwiatek, po rączkę raczej, co go podawała. Dziś jeszcze na to wspomnienie ręce zacisnęły się i długo nie chciały odprostowywać kościstych palców!

Zwrócił się w uliczkę, prowadzącą ku rzece. Domki, stojące tu niegdyś, czepiały się ogródkami urwiska, zbiegającego nad sam brzeg rzeki. Urwisko pozostało, krzaki jałowcu i berberysu rozrosły się szeroko, ale na miejscu niskich chatek stały dziś dwa wspaniałe domy, obrócone frontem ku rzece; na miejscu ogródków rozesłały się trawniki powycinane w misterne klomby; kwitnące oleandry w dwu szeregach rozbiegały się wzdłuż okien; słupy przed gankiem zdobiły stuletnie agawy. Szeroka, użwirowana droga, obiegała dokoła dziedziniec; brama zamknięta, okna zasłonięte białemi sztorami; przy jednym z ganków leżał wielki pies czarny. Usłyszawszy kroki, podniósł głowę, uderzył ogonem po piasku.

— Hm, nieźle, wcale nieźle, zauważył jenerał, okrążając podwórze, otoczone zielonemi sztachetami. Trzeba będzie dowiedzieć się, czy nie do wynajęcia. *Comfortable!* widok dobry!

Odwrócił się plecami do domów. Piękna panorama rozesłała się przed jego oczyma. Wysoki brzeg, poszarpany fantastycznie przez czas i ulewy, zbiegał krętemi ścieżkami do Niemna, co niby senny płynął spokojnie, bez szmeru, zadumany, czy leniwy, zdawał się być symbolem swego kraju, swoich ludzi... I oni również zwolna dążą naprzód... ale — dążą, i ich natura głęboka, jak dno rzeki, nie ugina się pod ciężarami, nie szumi, nie faluje bez potrzeby... Widzi przed sobą jedno wielkie ujście — morze wiedzy, dąży do niego według sił i możności... Nie na skrzydłach wprawdzie, a nawet i nie krokiem szczęśliwych!

Na drugim brzegu ciemny las piętrzył się ku górze i ginął w obłokach.

—Zapewne do wynajęcia — powtarzał— zwracając głowę kolejno od rzeki do domów. Oni tu wszystko wynajmują! Chyba że mię ktoś uprzedził! A może to jej domy? Uśmiechnął się. Dobrze byłoby. Między starymi znajomymi interes łatwiejszy.

Czuł się zmęczonym trochę przechadzką po piaskach i to wprawiło go w dobry humor. Oparł się plecami o sztachety, zdjął kapelusz i wyjąwszy fular z kieszeni, zaczął ocierać czoło, twarz, brodę; wietrzyk igrał z rzadkimi włosami — poddawał się tej pieszczocie bez oporu.

Tuż przed nim, nad samym brzegiem urwiska, kilka karłowatych drzewek, pozostałych z dawnego ogródka, sterczało w trawie wysokiej.

Przy jednem z nich, przysłonięta twarzą do pnia, stała kobieta; taż sama, którą spostrzegł w ulicy parku. Wysoka, bardzo szczupła, odziana była w czarną suknię, czarna peleryna zwieszała się z kościstych ramion; podarta koronkowa chusteczka przykrywała tył głowy; pasma jasnych włosów spadały na skronie, plątały się ze strzępami koronki; bez mankietów, bez rękawiczek, chude, o długich palcach ręce, ściskały konwulsyjnie pień drzewa. Twarz, młoda jeszcze, wydawała się bardzo biała, wychudła, ze sterczącemi kośćmi na policzkach nosiła ślady choroby czy nędzy; głęboko zapadłe oczy wyglądały jak czarne plamy przy bladych policzkach. Stała wpatrzona w ziemię i tak bardzo przycinięta do drzewa, że zdaleka można ją było przyjąć za część pnia o ciemniejszej niż korze.

stwa posuwać się winna, że w chwili groźnych kataklizmów dziejowych lepiej jest mieć za sobą sto tysięcy zdrowego i chętnego żołnierza, niż pół miliona obojętnej i słabej czerni żydowskiej — temu uwierzyć nie łatwo. Dopiero w ostatnich czasach, kiedy samowola królestwa Judy w cesarstwie austryackiem stała się skandalem, powagę rządu kompromitującym, dopiero wtedy pomyślano o skonfiskowaniu samozwańczego okólnika rabinów*).

Augurom izraela, jak wszystkim na świecie augurom, chodzi głównie o utrzymanie nad ludem swoich wpływów, zwłaszcza w ich najbardziej konkretnej formie — pieniężnej; ale czyśmy powiedzieli sobie choć raz bez obłudy, dla czego „czarne knowania“ tak wdzięczną dla siebie znajdują rolę? Czy staraliśmy się zrozumieć, że żydzi bronią swojej plemienno-religijnej odrębności. Że „obrzydliwy szwargot żydowski“ jest dla przeciętnego Szmula lub Icka tak pięknym, jak dla nas mowa Słowackich i Mickiewiczów? Że brudny chałat ma dla nich urok kontusza, a nędzne *cyces* — zastępuje im relikwie św. Stanisława i Kazimierza... W niektórych prowincyach język nasz jest również bezecną mieszaniną kilku sąsiednich? Dla czegóż nie oddajemy jej za „gramatyczną“ mowę Schillerów lub Puszkinów? Czy wiemy, jak śmiesznym dla żydów liryzmem tchną owe frazesy o obowiązkach względem społeczeństwa, śród którego żyją, jak błahemi są one wobec tych krótkich słów Talmudu: „I przyjdzie Mesyasz, który was z rąk wrogów uwolni...“

Przestańmy więc potępiać objawy, które uszanować byśmy musieli, gdyby nie o naszą chodziło skórę. Zupełnie inną będzie odpowiedź, gdy zapytamy siebie, czy mamy prawo *bronić się* przed zalewem i moralną zgnilizną, której ferment w łonie „czarnej rzeszy“ się rozwija? Tak jest: bronić się mamy prawo, bronią naszą — oświata. Łagodne jej promienie rozproszą ciemności w głowach i sercach biednych tułaczów Palestyny. Ona im powie, że dekalog nie w blaszance na czole, ale w sumieniu chować należy; że mowa ich jest jałmużną, na którą się szczątki różnych cywilizacyi składały, że brudny chałat jest karykaturą polskiego kontusza, nie zaś potomkiem żydowskiej chlamydy... Ona ich nauczy, że mesyasze dzisiejszej ludzkości nie z ogniem i żelazem, lecz z gwiazdą wiedzy i braterstwa przychodzą, ona wreszcie powie im o obowiązkach, względem ich wrogów-gojimów...

O oświatę też dla żydów dobijali się posłowie Merunowicz i Zucker, w jej również imieniu walczy p. Z. Fryling.

Ale podając chleb jedną ręką, nie trzymajmy kamienia w drugiej i nie składajmy u stóp rabinów miecza przeciwko sobie. Mieczem tym jest egoistyczna u naszych cywilizowanych izraelitów metoda asymilacyi z nami przez zmianę religii. Mówimy tu o egoizmie, gdyż w szczerość neofitów wraz z p. Frylingiem nie wierzymy stanowczo. Czasy ekstazy religijnej już przeminęły. Trudno jest często oderwać się od wierzeń najbardziej niedorzecznych, jeżeli się z mlekiem matki wyssało; ale żeby człowiek ukształcony skłonnym miał być do wiary w nowe dla siebie cudo — nie zdaje się prawdopodobnem. Tymczasem duchowni przewodnicy ciemnych mas żydowskich wskazują dziś na odmieńców, jako na złowrogie skutki goimowskiej oświaty. W skazują — i przerażone pokolenie Judy mocniej jeszcze przyciska do ust żałobny rąbek *tałesu...*

Neofici podwójną wyrządzają nam szkodę. Z jednej strony odpychają od nas ciemnych swych braci, z drugiej — podtrzymują w społeczeństwie naszem niedołęstwo, które mu każe pierwiastek wyznaniowy identyfikować z innymi objawami odrębności*).

A sobie? Niech położą rękę na sercu i odpowiedzą szczerze: czy wielkie zapewniają sobie korzyści przez swoje religijne odstępstwa?

K. J.

*) Konfiskata owa stała się przyczyną nagłej śmierci Schreibera.

*) Sądzimy, że rezultat jest nietylko ujemny. W kraju, który niema instytucyi ślubów cywilnych, ułatwiających mieszanie się żywiołów, zmiana religii żydowskiej na chrześciaską jest *nieraz* skutecznym środkiem asymilacyjnym, tem bardziej, że powstrzymuje pokolenia następne od powrotu do odrębności. Zwykle potrzeba tylko zbiednienia jakiejś rodziny semickiej, ażeby jej zubożałe potomstwo zżydziało. Autor ma zupełną słuszność... w Niemczech lub Austryi (*Red*).

TAKTYKA EGOIZMU KLASOWEGO.

II.

Obok tych dowodów, poczerpniętych z dziedziny cywilizacyjnej, autor przytacza cały szereg argumentów ekonomicznych, które nawet stawia na pierwszym planie, a które na drugi usunęliśmy dla tego, że według nas są to tylko niejako ilustracye ekonomiczne dla tem większego przekonania czytelnika, podczas gdy samo założenie tkwi całkowicie w pierwszych.

Przy ocenianiu produkcyjności gospodarstw różnych rozmiarów „tylko *dochód czysty* ich właściciele stanowić może kryteryum?“ Dochód zaś ten zależy od „najodpowiedniejszego ustosunkowania“ trzech czynników: ziemi kapitału i pracy, które „możliwem jest wówczas jedynie, gdy gospodarz posiada“: 1) „zdolności organizacyjne (inteligencyę“), 2) „zupełną możność rozporządzania tymi czynnikami.“ Co do moralnych względów, nie tylko brak (gospodarzom drobnym) warunków *dodatnich*, lecz ...występują tu jeszcze z niezmierną siłą wpływy ujemne, jak „brak inteligencyi wśród właścicieli, konserwatywne ich usposobienie i naśladownictwo w urządzaniu i prowadzeniu gospodarstw.“

„Nie lepszem jest położenie małych gospadarstw pod względem warunków *fizycznych*,“ wskutek braku „rozmaitości położeń,“ a zatem koniecznej „jednostajności produkowania.“ Niemożliwość przeprowadzania melioracyj (osuszania i nawadniania), użycia kosztownych machin i narzędzi, urządzenia nawet skromnych rozmiarów fabryk, przerabiających surowe płody rolnictwa, strata kapitału wskutek zbyt wielkiej stosunkowo ilości inwentarza roboczego, a zbyt małej — nieroboczego, strata czasu przy odstawach, wreszcie nisko stojąca hodowla inwentarza—wszystko to czyni użycie kapitału w małych gospodarstwach nieprodukcyjnem.

Dopiero trzeci czynnik, *praca*, okazuje „odnośnie do małych gospodarstw niektóre jaśniejsze strony.“ „Chociaż bowiem w gospodarstwach takich... ekonomiczne połączenie i ekonomiczny podział pracy ograniczone być muszą do bardzo skromnych rozmiarów, to z drugiej strony występuje tu niezmiernie doniosły wpływ na

---

Na odgłos kroków jenerała podniosła głowę, przymrużyła oczy, wpatrzyła się w niego z natężeniem.

Gdy dla otarcia potu zdjął kapelusz, kobieta cofnęła się; nie dowierzając własnym oczom, wysunęła szyję i zwolna, bez szmeru postąpiła naprzód. Drzewka ją przysłaniały, trawa tłumiła kroki. Stanęła przed jenerałem, zanim on zdołał spostrzedz jej obecność.

On zadrżał, ręka z fularem opadła, zdumiony pochylił się mimowoli ku stojącej.

Byli prawie równego wzrostu; spojrzeli sobie w oczy, nie podnosząc, ani spuszczając głowy; profile ich ostre, ze spiczastemi brodami, wyglądały jak sylwetki szkieletów, ogryzionych przez zbytek i nędzę.

— Tak, to ty — zawołała, odstępując parę kroków — pewna byłam, że cię zobaczę raz jeszcze!

Zdumienie ustępowało przed ponurą zadumą, z której przebudziło ją przybycie jenerała; uśmiechnęła się szydersko, spojrzała przez ramię jego na uśpione domy. Myśl jakaś gnębiąca pochłaniała ją w zupełności; nawet to spotkanie, tak niespodziane i tak bolesne zarazem, poruszyło ją na jedną chwilę zaledwie.

On zaś, zaskoczony tak niespodzianie, zmieszał się, uchwycił ręką za ogrodzenie.

— Kto tu — wybąknął, usiłując nadać twarzy surowy wyraz.

— Nie poznałeś — zawołała kobieta. Stara, bardzo stara znajoma.

Zmierzyła go wzrokiem, podniosła oczy do twarzy z wyrazem pogardliwego szyderstwa.

Jenerał ochłonął. W głosie, chociaż bardzo słabym i ochrypłym, dźwięczała znajoma nuta, przytem miał czas poznać figurę i rysy.

— Owszem... owszem — odrzekł z przyspieszonym oddechem — pomimo wielkiej zmiany.

Owładnęła nim jakaś niespokojna ciekawość. Obrzucał wzrokiem stojącą przed sobą kobietę, ale nie miał odwagi spojrzeć w jej twarz uważniej.

— Zmieniliśmy się oboje — odrzekła, postąpiła kilka kroków i oparła się dłonią o sztachety. Jej myśl, uwaga, dusza cała skupiała się tam, w domach; obecność jenerała zdawała się być coraz więcej obojętną.

On to zauważał, zwrócił się ku niej trochę zdziwiony.

— I ja więcej się domyśliłam, niż cię poznałam — dodała, jakby przebudzona jego ruchem. Po co tu przyszedłeś? Spojrzeć na naszą przeszłość? Nie zapomniałeś tedy? pytała, wpatrując się w jego twarz. Tyle lat! Ja sama... sądziłam, że już potrafiłam zapomnieć! Bo i ja od lat dwudziestu, dziś pierwszy raz jestem tutaj! Tak, od tej jesieni, kiedy rzuciłeś mię samą z hańbą i pogardą ludzką, jestem tu pierwszy raz... Przywędrowałam przed godziną z trupą aktorów.

Zaśmiała się przeciągle; głos jej był cichy, nierówny, ostre dźwięki wyrywały się od czasu do czasu. Chciała panować nad sobą, ale sił brakło, pierś podnosiła się od tłumionego łkania. Chwilami żyły na szyi naprężały się, jakby krzyk straszny ugrzązł w gardle. Twarz tylko pozostała doskonale spokojną.

— Więc tu nie mieszkasz?—spytał jenerał, trochę niezadowolony ze spotkania. Spojrzał ku drodze i włożył kapelusz niby od niechcenia.

— Nie, ani tu, ani na całym świecie nie mam swego kąta! Nie ma[illegible] odzina mię odepchnęła! W pierwszy[illegible] wilach strasznej boleści mało dbałam [illegible] Sądziłam, że wśród obcych łatwiej zapomnieć, że szałem żal stłumię. Ale ja szaleć nie mogłam! Kałuża wstrętną mi była... a na drugą miłość sił brakło. Nędza otrzeźwiła z bolu. Nie jeden, sto grzechów zgładziłabym tem, com przecierpiała! Nie przebaczyli jednak! Sądziłam, że zapomniałam o nich, o świecie całym, że... skamieniałam w poniewierce. Tak myślałam do dzisiejszego wieczoru, nim stanęłam twarz w twarz z przeszłością. Tu wszystko odżyło! Sumienie zdawało się czekać tej chwili, by się przebudzić dla roztrząsania brudnych szmat dwudziestoletniej włóczęgi. Oh, straszna to chwila!

Jenerał wpatrzył się bardzo uważnie w rękawiczkę i już nie miał ochoty przypatrywać się twarzy kobiety; widział bowiem, że zmieniła się strasznie, była starą, brzydką a w dodatku egzaltowaną.

jej produkcyjność — *własny interes* pracującego *dla siebie*, którego potęga „jest olbrzymią.“ „Nie mogą jednak dogodności tego czynnika wynagrodzić ograniczeń w najkorzystniejszem użyciu w gospodarstwach małych dwóch pierwszych czynników produkcyi.“ Czynniki te w połączeniu z poziomem inteligencyi posiadaczy dają przewagę gospodarstwom wielkim nad małemi. „Największe szanse wyprodukowania najwyższego czystego dochodu posiadają gospodarstwa *średnie*, pod względem bowiem zastosowania dwóch pierwszych czynników zbliżają się do gospodarstw wielkich, a pod względem produkcyjności pracy, stoją na równi z małemi...“ Przyznając jednak gospodarstwom średnim pierwszeństwo w produkcyjności, niepodobna nie zauważyć, że polega ono na różnicy tak drobnej, iż częstokroć najsłabszy nawet wpływ uboczny przeważa szalę owego pierwszeństwa na stronę — wielkich.

W praktyce autor radzi dołożyć wszelkich starań, aby wytworzyć klasę średnich właścicieli kosztem rezparcelowania tych obszarów dworskich, które leżą jako nieużytki, lub są niedogodne dla wielkiego gospodarstwa lub wreszcie nie przynoszą odpowiednich korzyści dla braku kapitału obrotowego, i w tym celu proponuje założenie banku, któryby specyalnie się tem zajął.

Taką jest treść i przewodnia myśl broszury p. F. Materyał praktyczny, którego autor zresztą udziela dość skąpo, gdyż w „dane statystyczne nie wierzy,“ a porównań z ekonomicznymi stosunkami innych krajów unika, jako niestanowiących, według niego żadnego dowodu, materyał ten skierowany jest do ilustracyi dowodzonego twierdzenia. Samo zaś dowodzenie pozostaje na gruncie abstrakcyjnych rozumowań.

Jakkolwiek mielibyśmy wielką chęć porównać nasze stosunki ze stosunkami odpowiednimi innych krajów, ponieważ z góry p. F. uprzedził nas, że wyniki badań w tej kwestyi poczynionych dla nas są nieobowiązujące, więc pozostaniemy wraz z autorem w dziedzinie abstrakcyi.

Założenia swego o cywilizacyjnem znaczeniu wielkich właścicieli (szlachty) p. F. niestety nie udowodnił. Aby utrzymać się na tym gruncie, przedewszystkiem należałoby mu dowieść, że klasa, będąca dziś przedstawicielką wielkiej własności, była dawniej i jest dziś przedstawicielką postępu i nowych idej. Gdyby p. F. tego dowiódł, miałby przynajmniej formalnie prawo występować w imię „cywilizacyjnego wpływu wielkich właścicieli.“ Niezrozumiałem byłoby wprawdzie i wówczas dla nas, czemu społeczeństwo ma opłacać haracz garstce wybranych i skazywać na wyzyskiwanie $^{9}/_{10}$ ludności, która niewiele z tych dobrodziejstw cywilizacyi korzysta, ale wtedy p. F. formalnie byłby w porządku.

Tymczasem autor tego nie dowiódł, bo tego dowieść niepodobna. W przeszłości przeczą mu wszystkie fakta, z ostatnich dziejów Francyi, Anglii, Niemiec, Polski i innych krajów. Klasy feudalno-szlacheckie stały zawsze w ogonie postępu i ciągnęły społeczeństwo wstecz. W swoim czasie walka królów, a następnie mieszczaństwa z feudałami była postępem i dzięki tylku zwycięstwu pierwszych społeczeństwa utrzymały swe istnienie w międzynarodowej walce o byt. W Polsce bieg wypadków poszedł inną koleją, postępowych wówczas klas kraj nie wytworzył, i po chwilowem zamiarze posuwania się naprzód (w wieku XVI), szybkim krokiem pośpieszył wstecz, prowadząc „ekonomiczną kraju ruinę“ i „moralne zabójstwo narodu.“

Czyby i dziś przewaga tej klasy nie sprowadziła podobnych następstw? Powiadają nie, bo do znaczenia przychodzi *stan trzeci*, którego wytworzenie leży na sercu i p. F. Lecz stan ten, który niegdyś był rewolucyjnym i postępowym, doszedłszy dziś do władzy i trzymając faktycznie w swym ręku środki egzystencyi i walki o byt, wcale do zmian jest nieusposobiony i jawnie do wstecznych przechodzi obozów.

Pozostaje więc tylko lud, który, dążąc do polepszenia swego bytu i stanowiąc podstawę ogółu, jedynie zdoła sztandar postępu podtrzymać i ocalić istnienie narodu. Podniesienie go z wiekowego upadku, oświecenie w przeświadczeniu doniosłej społecznej roli, jaką spełnić może — stanowić powinno cel nie szlacheckiej, ale całej rozumiejącej interes ogółu inteligencyi.

Jakimże sposobem cel ten osiągniętym być może? Jeśli staniemy na gruncie ideałów względnych, które urzeczywistnionymi zaraz być mogą i materyalny a zarazem i moralny poziom ludu podniosą, zatem popchną społeczeństwo po drodze postępu, bezwątpienia parcelacya za korzystną uważaną być powinna. Da ona ludowi do ręki ten oręż w walce o byt (środki wytwarzania), który on najlepiej w swych interesach, a zatem w interesach $^{9}/_{10}$ ludności spożytkuje. Ze stanowiska zatem cywilizacyjno-moralnego parcelacyę można by uznać nawet za ostateczny „program społeczny.“ Lecz obok względów powyższych istnieją ekonomiczne. Słusznie powiada p. F., że „mnożące się zaludnienie stanowi przyczynę, a nagromadzające się jednocześnie kapitały — warunek wzrostu intenzywności gospodarstw...“ Jeżeli więc u nas włościańskie gospodarstwa stoją gorzej, niż za granicą, nie używają ani sztucznych nawozów, ani wielkich narzędzi i machin, to po części dla tego, że dziś u nas one się nie opłacają. Stąd też zarzuty, czynione drobnym posiadaczom, i pochwały na korzyść wielkich — są przesadzone. Możnaby się zgodzić z p. Kirszrotem-Prawnickim (w *Ekonomiście*), który określa wydajność zboża w wielkiej własności 4, 4 ziarn, a w małej 4 ziarna, i stosunek ten uważać przybliżenie za prawdziwy. Lecz z drugiej strony rozwijające się życie ekonomiczne i wzrost ludności coraz bardziej czynią koniecznem stosowanie w rolnej produkcyi wielkich maszyn, narzędzi kosztownych, drenów itd., co możliwem jest przy większych jedynie obszarach. Produkcyjność wielkiego i małego gospodarstwa, które dziś nie wiele się różnią, coraz bardziej różnić się zaczyna, prowadząc mniejsze do strat i ciężkiej walki z wielkiemi, lub do bankructwa. Chwila ta od nas zapewne jest jeszcze daleką, niewątpliwie jednak wraz z wrostem ludności i zapotrzebowań na produkty rolne zbliża się i w przyszłości może stanąć przed nami w całej swej grozie. Wtedy okażę się może, że program, polegający na samem dzieleniu ziemi, jest niewystarczającym. Jest wiele przedsiębiorstw w gospodarstwie rolnem, których dokonać można tylko, posiadając wielkie kapitały i na wielkich obszarach. A ponieważ zupełne i bezwarunkowe prawo własności drobnych posiadaczów stanowi tamę dla przeprowadzania ulepszeń lub czyni je nawet wręcz

---

— Aktorka, hm, aktorka, dać jej coskolwiek i zmykać; tylko że jak się wnęci... to nie odczepię się od niej!

Podniósł rękę do tej strony żeber, gdzie bywa serce i portmonetka.

— Doznałam już wszystkiego— mówiła, odetchnąwszy z całych piersi— boleści, pogardy, pracy ciężkiej, ale dziś zaledwie poznałam zazdrość!

Obrzuciła jenerała suchym, błyszczącym wzrokiem.

Cofnął się zdziwiony, z uśmiechem.

— Cha, cha! Zgrzybiały Don Żuan —zawołała— odrzucając głowę z szyderstwem. Nie lękaj się, nie o ciebie tu idzie! Dziś już nawet pogardzać tobą nie umiem! Spotykałam podobnych tysiące, dokąd świeciły oczy i skóra nie przyschła ostatecznie do kości! Dziś nawet zanadto jestem dumną, żebym miała poniżyć się do zazdrości o ciebie! Ja pozazdrościłam spokoju, życia uczciwego... niepokalanej przeszłości! Wszystkiego tego zazdrościłam rodzonej siostrze mojej, gdy ukryta za drzewem przyglądałam się jej i dzieciom, krzątającym się koło trawników! I ona musi mieć ciężkie chwile... Ale ona żyła, spełniła, co mogła, jej życie drogie, potrzebne, ona ma dach nad głową, rodzinę, szacunek ludzki, ona człowiek. A ja, ja piętno rodziny, nazwiska swego nosić nie śmiem! Żeby tu przyjść spojrzeć raz jeszcze na kąt rodzinny, musiałam czekać nocy! Nie śmiałam, lękałam się, żeby mię nie poznali! Dla nich ja dawno umarłam... niechże widmo moje nie rzuca plamy na czyste ich imię!

Zacisnęła pięście, jednym rzutem oka obrzuciła domy, trawniki... i rzekę cichą... głęboką...

Wspomnienie o własnym dachu najwięcej trafiło do przekonania jenerała. Spojrzał na nią z ukosa.

— Hm, chora, widać, że chora... można byłoby ją...

— Trzeba się podleczyć — przemówił... zdrowie wszystko naprawi. Mam stosunki, z łatwością mógłbym umieścić na letni sezon w szpitalu...

Zająknął się... Kobieta, wpatrzona w niego uporczywie, wykrzywiła usta w szyderskim uśmiechu.

— Szpital! — zawołała i zaśmiała się długim przeraźliwym śmiechem.

Teraz zaledwo wyrwał się ten krzyk, co pierś i gardło rozsadzał. Brzmiała w nim boleść, nienawiść, pogarda, szyderstwo, słowem wszystko, z czego się składa dusza — sponiewieranych.

Nazajutrz jenerał obudził się późno; noc miał niedobrą, nogi odrętwiały pomimo ogrzanej flaneli, żołądkowa niedyspozycya dawała znać o sobie... przysłuchiwał się sercu... z tej tylko strony wieści były pomyślne: uderzało regularnie z powagą właściwą wiekowi i stanowisku.

Gdy wszedł lokaj z herbatą na srebrnej tacy, pierwszem zapytaniem było:

— A jaka pogoda?

Za całą odpowiedź lokaj uchylił zieloną firankę u okna. Do pokoju zajrzało słońce jasne, wesołe, jakby tylko samo szczęście oglądać zwykło.

— A w miasteczku harmider — przemówił lokaj, podsuwając stolik z przyborem do łóżka; jakaś aktorka utopiła się... Zamilkł zdziwiony miną pana.

Jenerał usiadł; oczy otworzył szeroko, dolna warga odpadła, rzadkie kosmyki włosów, sterczące na skroniach i nad czołem, czyniły twarz jego dziwnie przerażoną. Poruszył ustami, ale na słowo zdobyć się nie mógł.

— Jakieś ladaco! — uspakajał lokaj, sądząc, że pan się lęka, żeby nie stracić przyjemnego widowiska. Teatr grać będą... dziś nawet!

Jenerał opadł na poduszki. Gdy po chwili lokaj wychodził, przywołał go ode drzwi.

— Słuchaj, powiedz faktorowi, żeby się dowiedział, czy te ładne domy za parkiem, nad urwiskiem do najęcia? Wiesz o jakich mówię? Wielkim palcem wskazywał w stronę domów.

Lokaj skinął głową.

— Wiem panie. To tam właśnie utopiła się aktorka. Chodziłem patrzeć!

— Głupcze, ruszaj precz!

Ostoja.

niemożliwemi, zadanie to wówczas spadnie na całe społeczeństwo, na jego przedstawicielstwo, wreszcie na inteligencyę, która szerząc ideę stowarzyszeń, dopomagać będzie do wspólnego nabywania narzędzi, przeprowadzania większych ulepszeń itd. W przewidywaniu tej przyszłości, ze względów ekonomicznych, przyznać należy, że program parcelacyi jest niewystarczającym i dążyć do najbardziej celowego jego uzupełnienia. Obok dzielenia ziemi i dawania każdej rodzinie możności pracowania na własnym kawałku, należałoby starać się o rozwinięcie jaknajwiększej solidarności w ludzie, szerzyć zasadę wspólnego prowadzenia gosdodarstw, jeżeli i o ile to będzie w zastosowaniu do świadomości ludu możliwem.

P.

Malarstwo polskie.

(Józef Chełmoński).

Ktokolwiekzjakiegokolwiekbądź punktu widzenia chciałby pisać o p. Chełmońskim, musiałby przedewszystkiem określić jego temperament: temperament nawskroś artystyczny; temperament, który nie liczy się z żadnemi prawami sztuki; temperament, który unosi; temperament, który pozwala lekceważyć prawdę dla pokazania fałszu w formie artystycznej; temperament, który niesie na krańce karykatury uczucia smutku, łez, wesołości i wszystkich możliwych i niemożliwych stanów duszy; temperament, który umie wyrazić na płótnie malowniczość szaremi farbami a charakter fałszywym rysunkiem; temperament, dla którego przesada we wszystkiem jest normą tworzenia; temperament, który z wad zrobił sobie największą zaletę: indywidualność; temperament, który indywidualność zacieśnia do sposobów techniki, a technikę do jednostronności; temperament, który przeszkadza widzieć w naturze milion szczegółów wyraźnych po za jednym nieuchwytnym dla innych artystów; temperament nareszcie, który ocala jednostajność, i w monotonii kolorów, oświetlenia, kompozycyi, typów, ruchu, każe się dopytywać rozmaitości.

Nie łudźmy się olbrzymią płodnością p. Chełmońskiego! Dla oka uważnego namalował on dwa obrazy: pierwszy, przed wyjazdem do Paryża, był arcydziełem charakteru przy słabej stosunkowo technice, a drugi, po wyjeździe do Paryża, jest arcydziełem techniki przy słabem stosunkowo odtworzeniu charakteru polskości w krajobrazie, typach, utworach, ruchach i wyrazie ludzi.

Ostatnimi obrazami, jakie widzieć było można w „Salonie" paryskim i na wystawach w Warszawie, p. Chełmoński dowiódł wyraźnie, że „w sztuce można robić dobrze to tylko, co się widziało." Typy, jakimi posługuje się teraz, albo już były wyzyskane z mniejszem lub większem szczęściem w innych obrazach, albo też są bladymi wytworami jego wyobraźni, dla zapełnienia dziur w płótnie. Szlachcic, który jedzie konno na obecnie wystawionym obrazie: *Wyjazd na polowanie z chartami na Podolu*, siedział już na wozie, chodził z dubeltówką, podjeżdżał sankami, strzelał z łuku do celu, przewoził się bacikiem przez rzekę, konkurował o pannę, traktował wódką chłopów i zbił sobie brzuch gorącemi talerzami po przejedzeniu się na Wielkanoc, na innych obrazach, a we wszystkich tych metamorfozach uciech życia wiejskiego był nieskończenie charakterystyczniejszym, jako typ indywidualny i jako typ ogólny szlachcica polskiego, który *procul negotiis paterna rura bobus exercet suis*, lub też w chwilach wolnych od zajęć poluje, poluje, poluje.

A przytem cóż to znowu za polowanie takie, gdzie siedemnastu ludzi jedzie konno z czterema chartami? Czy może naganka w szczerem polu, czy też zabawa wyprawiona dla gości? Jeżeli tak, to śliczni mi goście na Podolu: kubańcy, czerkiesi, kirgizi, hajdamacy! a wszystko za pan brat z szlachcicem! w jednym dworze! przy jednym stole! z jednego kieliszka! Widocznie minęły już te czasy, kiedy p. Chełmoński ilustrował obyczaje w Polsce, kiedy każdy jego obraz był kartką wyciętą z historyi życia współczesnego. Śniegu trochę, jeden typ jako tako prawdziwy i dwa albo trzy łby końskie charakterystyczne, ot i wszystko, co zostało się z dawnych skarbów, co nie zatarło się w pamięci, co nie straciło wyrazu w szablonach, w szablonach indywidualnych, ale zawsze w szablonach. Od dawna, od bardzo dawna już, p. Chełmoński nie pokazał nam ani nowego typu, ani nowego oświetlenia, ani nowego ruchu w koniach, którego był zawsze genialnym obserwatorem, ani nowej sceny, którazdumiewała głębokiem poczuciem charakteru życia w Polsce, ani nowego skracania się krajobrazu, w którem celował, którem pobijał wszystkich malarzy krajobrazów. Cała jego działalność dzisiejsza, to jedno wielkie pędzenie ruchem nabytym w przepaść, jaka się otwiera pod nogami każdego artysty, który techniką zastępuje uczucie, przypomnieniem obserwacyę. I dziś wprawdzie jeszcze jego konie *grzmią* przez step, pędzą jak burza powietrzna na oślep. Ale cóż z tego, kiedy w nich niema charakteru! Lampa, niepodsycona nowym zasobem esencyi, palić się będzie, jeżeli podniesiemy knot wyżej, ale palić się będzie ciemno, bez blasku, bez żywości, będzie płonąć, będzie kopcić tylko. P. Chełmoński, nie podsycając swego talentu coraz to nowemi zasobami obserwacyj z pierwszej ręki, na miejscu, na właściwym gruncie, wyciąga jedną jego strunę tylko: pamięć, która nie może być niespożytą, i tym sposobem zatraca w swoich obrazach to, co stanowiło ich najwyższą wartość: charakter. Jego konie dawniejsze, pomimo łbów za wielkich, nóg za długich, ścięgaczy poprzestawianych, ogonów za bujnych, były charakterystyczne w granicach prawdopodobieństwa: dzisiejsze są nieprawdopodobne i mało charakterystyczne; dawniejsze, malowane na powietrzu, wyrywały się z obrazu, zdumiewały wypukłością: dzisiejsze są płaskie. Typowość przemieniła się w przesadę, charakterystyczność w śmieszność, bryłowatość w plamy o jednej wartości kolorów, w malowanie bez planów. Dawniej p. Chełmoński kończył to, co było potrzebnem, co widz najpierw miał dostrzedz; dziś nie kończy nic. albo też to tylko, co wykończyć najłatwiej.

Słowo się rzekło: p. Chełmoński obserwacyę, twórczość, technikę, zredukował do łatwości w malowaniu, i w tej łatwości zaprzepaszcza talent. Nie patrzy, nie szuka, nie stara się, tylko maluje, maluje i maluje ręką, która sama już chodzi, sama zakreśla ruchy, sama szuka farb, sama nadaje wyraz ludziom, koniom, psom i całemu boskiemu i *nieboskiemu stworzeniu*, jakie tylko na myśl mu przyjdzie wprowadzić do obrazu. bez wyboru, bez troski o prawdę. Konie się nie modelują w powietrzu, chart ma oko na wylot, szlachcic jest tak gruby, że słoń pod nim by stęknął, krzaki rosną na niebie, topole, zimą, bez liści, rywalizować by mogły na szerokość ze stertami słomy wymłóconej, niebo sine, zadymione, niebiesko-olowiane, pochmurne nie odbija się w śniegu przeczystej białości — eh! ktoby tam się o to troszczył, byle był obraz, byle konie spadały z góry, byle chałastra spędzona ze wszystkich krańców świata galopowała za klusakiem szlachcica. Ale za to jak ten szlachcic jedzie, jak ten *gniady* pracuje w śniegu po *kopnej* drodze! Ziemia zdaje się jęczeć pod uderzeniami kopyt, kule śniegu świszczą koło uszu jeźdźców, powietrze drży od chrapu końskich nozdrzy, tyle tam siły i niezatartej jeszcze genialności w wyrażeniu ruchu, tyle tam rozmachu ręki bezwiednie, instynktowo kierowanej przez temperament, który kiedyś wyrażał siłę, charakter, głębokość, poezyę natury i życia, dziś, niestety! sam siebie już tylko wyraża.

Antoni Sygietyński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

H. Nussbaum. **Leon i Lajb**, studyum religijno - społeczne, Warszawa, 1883, str. 136.

Autor, znany z kilku poprzednich prac w sprawie żydowskiej, w obecnym traktacie na podstawie cytat z Talmudu, owego źródła prawowierności i ortodoksyi, wykazuje potrzebę i dopuszczalność reform w życiu religijno-obyczajowem żydów naszych. O ile wiemy, jest to pierwsza w tym rodzaju próba, tem ciekawsza, że do wystąpienia z nią nieposполitej potrzeba było odwagi i erudycyi, oraz że Talmud dotychczas u nas tylko ze swej ciemnej znany był strony. P. Nussbaumowi nie brak ani jednej, ani drugiej i dlatego zadowalniająco wywiązuje się ze swego zadania. Obrana przezeń forma dyalogu pomiędzy żydem zachowawcą religijnym a postępowcem—pomiędzy Lajbą a Leonem — nadaje się do wszechstronnego rozpatrzenia przedmiotu. Z rozpatrzenia tego dowiadujemy się, że wielka część owych rygorystycznych wyrzeczeń Talmudu, dzięki którym żydzi jakby murem chińskim odgrodzeni są od świata cywilizowanego, opiera się nie na zasadach religii mojżeszowej, lecz wprost jest wynalazkiem mędrkujących rabinów. Wyrzeczenia te atoli, poucza p. Nussbaum, mogą i powinny być uchylone w duchu słów późniejszych autorów Talmudu, wedle których należy znieść wszelkie rozporządzenia, niezgodne z potrzebami czasu i wymaganiami ogółu. Do takich rozporządzeń autor zalicza: obowiązek odmawiania modlitw, przed wielu wiekami w języku starohebrajskim ułożonych, do dawnych czasów i stosunków odnoszących się, a zatem dziś już nieodpowiednich; zakaz używania organów w czasie odprawiania nabożeństwa; ściśle i obecnie racyi bytu niemające przepisy o obchodzeniu soboty i świąt przez wstrzymanie się od jazdy, palenia, przenoszenia rzeczy z miejsca na miejsce, zajęć obowiązkowych i niektórych, nawet dla przyjemności przedsiębranych, zakaz spożywania pewnych pokarmów itp. Charakterystycznem jest przeprowadzone przez autora przeciwstawienie dwu powag największego w świecie talmudycznym używających znaczenia: Mojżesza Majmonidesa i Józefa Karo, z których pierwszy, żyjący w VII wieku, autor dzieła *More Nebuchim* (Przewodnik błądzących), odrzuca wszystko, cokolwiek racyonalnie wytłomaczonem być nie może, drugi zaś, syn XVI stulecia, jest twórcą księgi *Szulchan-Aruch* (Stół zastawiony), rodzaju kodeksu rytualnego, na którego ułożenie poświęcił 32 lata życia i w którym pod formą niezmiennych praw religijnych ujął wszystko, cokolwiek i ktokolwiek dla obciążenia strony obrzędowej wiary żydowskiej wypowiedział, czy to w formie dyskusyi talmudycznej, czy rozmowy poufnej, w opowiadaniu legend i mytów, czy w kreśleniu zwyczajów i nawyknień, w usposobieniu poważnem, czy lekkiem, pod wpływem natchnienia, czy humoru. Z takiej mieszaniny powstała księga, do dziś za świętą uważana w ortodoksyjnych sferach żydowskich, w 1099 rozdziałach mieszcząca 10,990 paragrafów, rozpościerających, jak mówi

p. N., sieci swe nad każdym czynem, nad każdym ruchem izraelity, niepozwalających zrobić kroku naprzód na drodze oświaty, utrzymujących go w wiecznym zastoju, z tym samym żargonem, ubiorem, zaniedbaniem w szkole i w synagodze, uporczywem odosobnieniem się od otaczającego go społeczeństwa, jak ongi przed wiekami.

Do przeciwdziałania podobnemu stanowi rzeczy, p. N. gorącemi słowy wzywa współwyznawców i to bez zaprzeczenia stanowi główną wartość jego książki. Czy jednak znajdzie słuchaczów? Pragnęlibyśmy wierzyć, a wątpimy. Ciemni żydzi bowiem po polsku nie czytają, a oświeceni nie wiele się troszczą o los masy współwyznawców swoich.

Język p. Nussbauma wogóle jest poprawny.

Ad. J. Cohn.

Dr. St. Kośmiński. **Słownik lekarzów polskich**, zeszyt I, Warszawa.

Literatura nasza nie posiada jeszcze podręcznika historyi medycyny w Polsce. Wszystkie prace dotychczasowe w tej dziedzinie stanowią dopiero materyał. Wszakże i te nie są zbyt liczne, a przedstawiają się po części jako monografie, po części jako drobne artykuły, a wszystkie razem obejmują nieznaczną część przedmiotu. Ludwik Gąsiorowski tylko wydał przed kilkudziesięciu laty dzieło p. t. *Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiej w Polsce od czasów najdawniejszych aż do najnowszych.* Praca ta, cztery grube tomy obejmująca, za nieoszacowaną w ogólności uważaną być powinna; nie zawierając wszakże materyału nowszego, który jest o wiele od dawnego obfitszy, pozostawia pewne luki i w dawniejszej bibliografii następnie wykryte. *Słownik lekarzów polskich*, którego pierwszy zeszyt świeżo opuścił prasę, przedstawia drugie w tej gałęzi dzieło i należy do liczby prac, przeznaczonych na czas nieograniczony. Zawiera on w porządku alfabetycznym nazwiska, mające jakikolwiek związek z dziejami sztuki lekarskiej w kraju, a mianowicie: życiorysy lekarzy-polaków, znanych w literaturze lub mających styczność z historyą rozwoju umysłowego kraju, a nawet obcych, którzy jakiekolwiek w dziejach naszych zajmują stanowisko (lekarze królów polskich, autorowie, których dzieła wydawano kosztem polaków i t. p.)

Ponieważ *Słownik* mieści w sobie tym sposobem nietylko bibliografię polską, ale i zagraniczną, o ile ona polakom byt zawdzięcza, przeto pożądaną byłoby rzeczą, żeby w końcu dzieła załączony został spis rzeczy wyłącznie polskiej literatury dotyczących; wtedy bowiem otrzymałoby piśmiennictwo wyczerpującą bibliografię medyczną, zważywszy, że autor zgromadził nawet drobne artykuły autorów nowoczesnych. Przy każdem nazwisku historycznem podał źródła, przy niektórych przytoczył ich przeszło dwadzieścia.

Zeszyt wydany obejmuje dziesięć arkuszy druku, formatu wielkiej ćwiartki i przeszło tysiąc nazwisk (od Abano do Hallera).

Obok tak sumiennego opracowania, dzieło odznacza się wzorową czystością języka i stylu. Nadanie mu postaci słownika nastręcza pewne trudności w opracowaniu. Do takich należy oznaczenie granicy pomiędzy epoką, w której samo nazwisko lekarza-polaka posiada znaczenie historyczne, a okresem, w którym tylko prace naukowe nadają mu to prawo. Druga trudność przywiązana jest do probierza narodowości: są bowiem autorowie, którzy oprócz nazwiska żadnych cech polskiego pochodzenia nie przedstawiają, a tem samem utracili prawo do tej narodowości. Kłopotliwą też jest okoliczność, że nie lekarze pisywali dzieła treści medycznej i odwrotnie. Względy te usprawiedliwiają pewne drobne usterki, które mógłby ktoś upatrzeć w *Słowniku*. Pamiętajmy jednak o przestrodze Lewesa, który w jednem z popularnych dzieł swoich czyni uwagę, że siła drąga, ale nie psychicznej działalności ludzkiej mierzy się najsłabszą jej częścią.

Dr. J. Polak.

J. Krasicki **Dzieła** tomów trzy, Kraków Bartoszewicz.

Przedsięwzięcie taniego wydania dzieł Krasickiego było pomysłem bardzo szczęśliwym. Wprawdzie „Biblioteka najcelniejszych utworów“ brakowi już zaradziła, nowy nakładca wszakże poszedł dalej — w obniżeniu ceny. Wydane przez niego tomiki są w swojej szacie zewnętrznej dosyć skromne, ale gustowne. Taniość ich powinna wpłynąć na rozpowszechnienie, które tem bardziej jest pożądanem, że z pism biskupa wieje duch, którego nam dziś jeszcze potrzeba i który nie wiele się zestarzał.

Zbiór autorów rzymskich.

Lepiej późno, jak nigdy. Nasza literatura podręcznikowa dawno już winna była pozyskać wydanie autorów starożytnych, na wzór tak zwanych *Eselsbrücke*. Księgarnia pp. Lesmana i Świszczowskiego postanowiła widocznie temu brakowi zaradzić. Mamy przed sobą dwa zeszyty Korneliusza Neposa — z tekstem łacińskim oraz przekładem dosłownym i swobodnym. Są pedagogowie, oświadczający się przeciwko tego rodzaju zbytnim ułatwieniom; co do nas, sądzimy, że raczej dbać u nas należy o oszczędzenie, niż mnożenie trudów.

Obłęd religijny.

I.

Powszechnem jest dziś mniemanie, że epoka obłędu religijnego już minęła, że troski materyalnej i sprawy społeczne zwróciły myśl na inne tory. Natura jednak ludzka nie tak łatwo się zmienia. Niewątpliwie, epoka wypraw krzyżowych, kiedy ludy całe z dobytym mieczem szły nawracać niewiernych, już nie odżyje; ale materyał psychiczny do uniesień misyjnych wcale się nie wyczerpał. Zapał ten szerzy się najwięcej w chwilach walk i reform wtedy zwłaszcza, gdy nowe religie się tworzą lub stare tracą racyę bytu. Wtedy to opanowywa on pewne wrażliwe umysły do tego stopnia, że wywołuje w nich zaburzenia, lub zboczenia, kończące się czasami chwilowem, niekiedy jednak nieuleczalnem szaleństwem.

W jednem z numerów *Revue Scientifique* spotykamy zajmującą o tym przedmiocie prelekcyę dr. M. Ballo, prof. na wydziale medycznym uniwersytetu paryskiego.

Na rozwój szaleństwa religijnego wpływa, podług niego, dziedziczność, wychowanie i otoczenie. Obłąkani tej kategoryi rodzą się zwykle z rodziców religijnych, a wychowanie potęguje w nich wrodzoną skłonność do mistycyzmu. Najsilniej wywiera ono swój wpływ ujemny na umysły słabe. Nie należy jednakże sądzić, żeby szaleństwu temu mogły podlegać tylko słabe głowy. Pomiędzy założycielami religij, z których niektórzy byli niem dotknięci, znajdowały się osobistości wielkie, lub co najmniej potężne inteligencye. Dość zacytować Lutra i Mahometa. Dla człowieka, noszącego w sobie zaród tej choroby, wzmocniony przez wychowanie, chwilą stanowczą jest zwykle dojrzałość. Wtedy to budzi się w nim pojęcie o doskonałości, a jednocześnie nienawiść do grzechu, pogarda dla życia i interesów ziemskich. Jestto epoka, w której zwykle najsilniej się przejawia powołanie religijne, popychające chłopców do seminaryów, dziewczęta do klasztorów. Chory zaczyna podlegać złudzeniom, a zwłaszcza złudzeniom słuchu, dalej następują uparta bezsenność i rozstrój nerwowy. Charakterystyczną cechą tego pierwszego okresu jest zupełna niezdolność do pracy w połączeniu z niespokojną działalnością. Chory odbywa pilnie ćwiczenia religijne, słucha kazań, chciwie pożera książki nabożne i jeżeli porzuca chwilowo praktyki obrzędowe, to tylko dla tego, aby się mógł oddać rozmyślaniom. Naturalna rzecz, że w takim stanie przerywa swoje dotychczasowe zajęcia, zaniedbuje obowiązki rodzinne i staje się bezużytecznym członkiem społeczeństwa.

Często zjawiają się jednocześnie oznaki pobudzenia płciowego. Istnieje pewien stały związek pomiędzy temi dwoma zjawiskami tak dalece, że możnaby sądzić, iż one biorą początek w tych samych komórkach mózgowych. Jestto jedna z najważniejszych cech charakterystycznych, odróżniających szaleństwo religijne od innych monomanij.

Przebieg obłędu można podzielić na trzy okresy: rozwoju, trwania i słabnięcia. Niekiedy wybucha on nagle bez żadnej przyczyny, po większej jednak części istnieje długi okres przygotowawczy.

Poprzedzają go zwykle głębokie cierpienia moralne, miłość nieszczęśliwa itp. niekiedy jednak jest wynikiem groźnej choroby, lub długich czuwań, znużeń i wstrzemięźliwości.

Takie są skutki ascetyzmu. Mistycy, pragnący mieć widzenia i oddający się w tym celu niezliczonym umartwieniom, osięgają zwykle to, czego pragnęli.

Jedną z niemniej częstych przyczyn obłędu religijnego są misye, kazania gwałtowne, opowieści, malujące w żywych kolorach klęski wiary itp. W klinice paryskiej znajdowała się niedawno młoda dziewczyna, która od chwili gdy umysł jej został głęboko wstrząśnięty kazaniami w kościele kapucynów, wyobraziła sobie, że jest kochanką szatana. W północnej Irlandyi, kraju protestanckim, przed kilku laty po kazaniach, skierowanych ku obudzeniu ducha religijnego, objawiła się epimia szaleństw religijnych, ponieważ zaś młode dziewczęta i dzieci, które dostarczały jej największej ilości ofiar, przedstawiały jednocześnie rozmaite zjawiska newropatyczne, lud nazwał tę chorobę religią histeryczną (*histerical religion*).

Widzimy więc, że obłęd religijny jest chorobą epidemiczną i zaraźliwą.

Przedstawia ona — zdaniem Balla — dwie główne postaci. W myślach ascetów dyabeł gra zawsze ważną rolę. Prowadzą oni ciągłą z nim walkę, zwyciężają go i wypędzają. Rola jednak szatana bywa inną, gdy jest on panem i tyranizuje swoje ofiary. Szaleństwu tego rodzaju dano nazwę demonomanii. W formie drugiej przeciwnie, wiara tryumfuje; zwyciestwo jej łączy się prawie niezmiennie z ambicyą. Kobiety przypisują sobie rolę matki Boga, mężczyźni są prorokami, mesyaszami, reformatorami. Najskromniejszy tytuł, jaki się zdarzyło spotkać wśród chorych dr. Ballowi, była godność „kanclerza boskiego.“

Przebieg choroby tego dostojnika, jako zjawisko typowe, kreśli autor bliżej.

Jestto człowiek lat około 50 mający, wzrostu dobrego, z wyrazem twarzy łagodnym i inteligentnym. Należy do stanu duchownego. W 25 roku życia został księdzem i przez lat kilka pełnił czynności swego zawodu. Od tego jednak czasu słabe zdrowie, bezkrwistość, bicia serca zmusiły go do porzucenia służby kościelnej. Nie został jednak bez środków do życia; synowi zamożnego obywatela ziemskiego nędza dokuczać nie mogła. Wkrótce po porzuceniu stanu duchownego zaczął słyszeć jakieś

głosy. Zdawało mu się, że je wywołuje elektryczność i wyobraził sobie, że posługiwano się nią dla męczenia go.

Stan ten trwał przez lat trzy, podczas których chory sądził, że Bóg go doświadcza za pomocą elektryczności, co budziło w nim niekiedy myśli przeciwne szóstemu przykazaniu.

Nareszcie Bóg mu objawił, że byłto jego głos boski, że za jego pośrednictwem przemawia do ludzi, że mu dyktuje.

Jestto więc teorya natchnień literackich.

Wkrótce potem zaczęły się halucynacye wzroku, chory miewał niebiańskie widzenia i ujrzał raz dziecię Jezus w bukiecie kwiatów. Boskie objawienie nauczyło go, że jest on biskupem i powinien nosić na swych piersiach krzyż biskupi.

Od tej tej chwili uczęszczał na jarmarki i zebrania publiczne a popchnięty przez manię wspólną ogromnej liczbie waryatów rozpoczął tomową korespondencyę. Pisał do biskupa Cahors, do papieża, do marszałka Mac-Mahona, do 363 itp. Chciał więc być w dobrych stosunkach ze wszystkiemi partyami. Celem jego, jak mówił, było utworzenie powszechnej teokracyi. Sam tylko Bóg, w miejsce wszystkich królów, powinien rządzić na ziemi. Ażeby dojść do tego celu rząd francuski powinien stworzyć sobie boskie kanclerstwo i, naturalnie, on to zajmie urząd boskiego kanclerza z pensyą 20,000 fr. Gdy się to stanie, zapanuje powszechny pokój; Francya zakwitnie i papiestwo powróci do należnego mu stanowiska.

Ostatecznie, natchnienie boskie pouczyło go, że czas już przejść od słów do czynu. Udaje się więc do Paryża i projekty swoje chce przedstawić prezydentowi Rzeczypospolitej. Zatrzymany i zaprowadzony do szpitala, z rezygnacyą przyjmuje to nowe utrapienie, które Opatrzność zsyła w celu doświadczenia jego wiary.

Jak widzimy, szaleństwo „kanclerza boskiego" nosi charakter ambitny. (D. n.)

M. W.

NOWE PRZEKŁADY
STARYCH POEMATÓW.
PIEŚNI HOMERYCZNE I NIBELUNGI.

IV.

Wspólnem znamieniem pieśni homerycznych i poematu o Nibelungach jest prostota dykcyi. Wymagać tedy mamy prawo od tłomaczów obu utworów przedewszystkiem najskromniejszej, że tak powiem, mowy—mowy, któraby płynęła jak potoczna opowieść bajki ludowej, jak naturalne, niewymuszone, nienastrzępione ani archaizmami, ani górnością, ani prowincyonalizmami, wierne odbicie słów, myśli i odcieni oryginału. Okropność scen starego poematu niemieckiego tem jest groźniejszą, im prostszemi słowami opowiedziana: takie wrażenie czyni oryginał; dobiera on najprostszych, dziecinnych prawie słów i wyrażeń, zimno i naiwnie szczebioce o strasznych, zgrozą przejmujących rzeziach, i w tem właśnie leży siła jego, w tem okrutna jakaś, pogańska, pierwotnością i nieświadomą ironią tchnąca potęga.

Rozpoczynam od przekładu Szabrańskiego; ten bowiem, chociaż dopiero po tłomaczeniu dra K. Germana ogłoszony, wcześniej jednak, bo w r. 1878 został ukończony, jak to widać z przedmowy.

Uwagi moje poprzedzę przytoczeniem kilku zwrotek oryginału w dosłownym, ile możności, przekładzie, oraz tychże w tłomaczeniu Szabrańskiego; to nam ułatwi wyrzeczenie zdania o ogóle tej pracy. Bierzemy ustęp z „wantury" 33 ej:

Wtedy uderzył Ortliba dziecię Hagen, bohater dobry,
Ze mu na rękę krew pociekła,
A głowa skoczyła na łono królowej;
Wtedy powstał pomiędzy rycerzami mord zawzięty [i wielki,
Zadał on też Ochmistrzowi szybkiego miecza cięcie
Obiema rękami (Ochmistrzowi), który dziecię pielęgnował,
Że głowa szybko pod stół się stoczyła.
Była to smutna nagroda, którą dał Ochmistrzowi.
Przy stole Atylli spostrzegł grajka,
Hagen, w gniewie swym, tam się skierował.
Odciął mu nad skrzypcami prawą rękę:
„Niech to ma posłaniec do kraju burgundzkiego!"

Szabrański tak ustęp powyższy oddaje (str. 304):

Krzyknął — i zaraz Ortliba Porywa za włosy płowe:
Przeciął szyję, potem rzucił Na pierś matki dziecka [głowę.
Jak grom huczy oburzenie: On ochmistrza przy dziecinie
Porwał znowu, głowę odciął. Krew ze stołu strugą [płynie.
Grajka, śpiewaka Attyli, Spostrzegł, a chuć krwi [zawrzała,
Mieczem ciął go w prawe ramię, Ręka odpadła od [ciała,
„To nagroda — krzyknął — za to, Żeś jak poseł tu nas [zwabił."

Już z krótkiego tego wyjątku widać, że Szabrański nie *tłomaczy*, lecz *przerabia* oryginał: opuszcza mnóstwo rysów, dopełnia własnymi, słowem parafrazuje dowolnie i tworzy *naśladowanie*, lecz nie *tłomaczenie* Nibelungów. Jakim jest wyżej przytoczony ustęp, taką też całość poematu; dziwić się więc trzeba, że tak rozsądnie i trzeźwo w przedmowie przemawiający tłomacz, pracę swą „przekładem" na tytule nazywa, gdy jest ona po prostu *przeróbką, parafrazą* na tle Nibelungów, lecz nie Nibelungami. W szczegóły dowodzenia zapuszczać się nie potrzebujemy; bo nawet pobieżne porównanie oryginału z kopią Szabrańskiego wystarcza do stwierdzenia powyższego zdania mojego.

Spytajmy teraz, jaką jest ta parafraza. Co do tonu ogólnego, nastroił ją autor na nutę nieco wyższą od oryginału: prostotę jego zastąpił gładkim, potoczystym, jednostajnym polorem, który się trzyma średnich regionów dykcyi, w każdym razie trochę górniejszych od poziomu pierwowzoru. To jednak, co po wyłożeniu głównych znamion takowego, w przedmowie (str. XX) mówi Szabrański, że „przekład polski dążył do chwytania powyżej wskazanej formy i starał się przybierać szatę starożytną, o ile pozwalały zasoby językowe bez uszkodzenia samego przedmiotu"— jest chyba złudzeniem, bo „szaty starożytnej" tłomaczenie jego niema, i to, zdaniem mojem, zaszczyt mu przynosi. Oddane jest ono w mowie zupełnie nowożytnej, czystej, jasnej, poprawnej i czyta się z przyjemnością, bo nie razi żadnymi wybrykami językowymi. Gdyby wiernie szło za pierwowzorem, w myślach, słowach i wyrażeniach, byłoby niezawodnie znakomitem. W tej zaś, jaką ma, postaci, jest to parafraza, natury zgoła nie parodystycznej, dająca dokładne pojęcie o fabule oryginału, lecz zacierająca delikatniejsze jego rysy, oraz podnosząca dykcyę i ton o parę stopni wyżej.

Dr. German podaje nam, cztery pierwsze pieśni Nibelungów w szacie polskiej. Wyrażając odrazu zdanie moje o tłomaczeniu jego, mniemam, iż nie wiele brakuje, aby było ono prawdziwym przekładem, w najlepszem słowa tego rozumieniu. Że zaś mamy tu do czynienia z początkiem tylko pracy, przedsięwziętej przez pisarza żyjącego i prawdopodobnie zamierzającego ją do końca doprowadzić, poważam się więc nieco obszerniej sąd mój o czterech pieśniach już przetłomaczonych wyrazić, ażeby go uzasadnić i życzliwemi uwagami mojemi zwrócić baczność na niektóre okoliczności; może się to przyczyni do uczynienia z pracy jego istotnie pożądanego nabytku dla piśmiennictwa naszego.

Co do poziomu stylu i tonu, to widać w przekładzie p. Germana nasamprzód wpływ smutnej pamięci przekładu Odyssei Siemieńskiego: takież dobieranie niezwykłych wyrazów, tych samych często, co tam, i podobnąż nierówność dykcyi: raz, przesycona archaizmami, lub małoużywanymi wyrazami, górną jest ona i nienaturalną, to znowu, nie wiedzieć dlaczego, zniża się do zwrotów i słów trywialnych, nadaje opowieści jakiś polor „facecyjny," szlachecko-dobroduszny, poufale-gminny, obcy zupełnie pierwowzorowi. Powstaje skutkiem tego nierówność w toku opowieści i wytwarza w czytelniku obawę ciągłego kołysania i chwiania się.

Oto naprzód co do doboru wyrazów i wyrażeń: *Niderlant* oryginału, w sposób pożałowania godny, tłomacz stale oddaje przez Żuławy (zwrotka 20 i in.), mówi o „witeziu Żuławskim" (zwr. 153, 168 i i.), dalej używa: mnogo, woje, rubieże, miny sierdziste, poczt junaków, bachmaty, oszczepy dzierżyli rycerze, siłacze, co to zacz, chrobra drużyna, ninie, huf, druh, witeź, snadnie, miasto (= zamiast), zuch żwawy, wzdy, dworzec (= pałac, zamek, dwór); wszelakiej ochoty do jakowejś sprawy; dziwo że wy, mój królu; korzyść mnogą, kędy (= gdzie), li dwunastu, li jeden, sprawny, zostańcie doma, bułat, oddał w straż, cześci, tarcz, onych, wy przysłonili, obaj króle, na zwrot słońca (?), otrzejcie łzy, jeno, do dom, boć itp. innych tego kalibru wyrazów i wyrażeń, któreby nie powinny się znajdować w przekładzie Nibelungów, Przykrego doznaje się wrażenia, gdy ni stąd ni zowąd, obok staroświeckich i wyszukanych wyrazów, czytamy: serduszko, rozumiek, tysiączek rycerzy (przypomina się *tułencik* Odyssei), albo: toć niedoczekanie, jak się sprawa święci, ludzie gapią się wszędzie, jeden zagada, Hagen, co mi wujem, nie pokpię sprawy, dostać języka, Duńczyków trzydziestu pomyka itd. Tak np. zwrotka 20 używa górnych, heroicznych tonów:

Kędy się Ren do morza *toczy* przez *Żuławy* (!),
Stał niegdyś zamek Santen, *gród* rozgłośnej sławy...

a tuż zaraz, w zwrotce 22, czytamy:

„Kiedy w kwiecie młodości był królewicz, *ano* (!)
Cuda o nim i dziwy w świecie powiadano."

Dziwnymi się wydają anachronizmy, w pieśni nawpół pogańskiej, tego np. rodzaju:

„Naprzód Bogu na chwałę msza się śpiewa *święta*,
A już garną się tłumnie *młode pacholęta*,
By zyskać cześć rycerską *u świętych ołtarzy*
W takim dniu, co się znowu nie prędko wydarzy."
(zwr. 33).

Wyrazów podkreślonych w oryginale albo niema, albo też są inne. Niema tu mowy o *kobiercach ślubnych* (zwr. 3) w oryginale, a *Ich Królewskich Mości* (zwr. 75) komiczne w Nibelungach czyni wrażenie.

Zdaje się, że przyjęcie wiersza trzynastozgłoskowego z rymami zmusza p. Germana do obfitych amplifikacyj: płótno kopii polskiej za dużem się staje do oddania rozmiarów pierwowzoru, więc tłomacz musi domalowywać różne rzeczy, których tam niema. Tak np. w zwrotce 180, wiersz drugi i czwarty dodane są przez tłomacza, w zwr. 183 pierwszy, i tak dalej w wielu miejscach. Możeby więc lepiej było wybrać inną formę wiersza? Może rytm miarowy, bezrymowy łatwiejby dozwalał być wiernym oryginałowi?

Epitety stałe należałoby wiernie zachowywać i nie zmieniać, nie dodawać ich i nie opuszczać w tłomaczeniu. Jeżeli np. w zwrotce 196 Forker nazwany jest *der küene spilman*, to nie wypada zwać go *cnym*, jak to czyni nasz tłomacz; *her Kûnec*

(zwr. 174) też niedokładnie wygląda w „króla mój i panie.“

Germanizmów tłomacz nasz unika zwycięsko; język jego, pominąwszy nienaturalność i archaizmy, przejęte od Siemieńskiego, odznacza się wielką poprawnością. Niektóre zboczenia łatwo usunąć, jak np. (zwr. 165):

„Chcą zaś wojny koniecznie, staną hufce chrobre;“

tu, na wzór niemiecki, opuszczono na początku *jeżeli*, a dalej *to;* albo *królewski dwór* (zwr. 139), zamiast *dwór królewski*, *król* z *Danii* (zwr. 140) zamiast *duński*, albo *Danii* i parę innych. Należałoby też unikać takich niegładkości, jak np.: strapiła ciężko się drużyna (192), błagali go gorąco (91), władali też nimi walecznie w zawody (198, w oryginale inaczej), książęta młode źle wyszli na .. (93), z honorem (156), możeby lepiej było zaszczytnie itd. Rym: grody—wprzódy (158) nie należy do pomyślnych.

Wybaczy mi szanowny tłomacz, żem się zapuścić musiał w szczegóły: ale ze szczegółów składa się całość; w sztuce niezmiernie one wiele znaczą; jedna skaza na najpiękniejszem zwierciadle psuje całą jego doskonałość; otóż chciałbym, aby zwierciadło polskie Nibelungów, tak umiejętnie i pięknie przez dra Germana rozpoczęte, nie nosiło na sobie żadnych niepotrzebnych rysów. Tłomaczenie, zdaniem mojem, płynąć powinno jak cicha i przejrzysta rzeka, przeznaczona nie do błyszczenia sama sobą, lecz do odbijania pięknych wzgórz i pól nadbrzeżnych pierwowzoru; wszelki chwast unoszący się na jej fali, wszelka zmarszczka i piana mąci odbicie.

Byłoby rzeczą pożądaną, gdybyśmy, oprócz posiadanej już parafrazy Nibelungów przez Szabrańskiego, poszczycić się mogli wiernym i gładkim przekładem p. Germana; zdaje mi się, że posiada on ku dokonaniu takowego zupełne uzdolnienie. Rad będę, gdy skromne a życzliwe uwagi moje przyłożą się choć w części do wzbogacenia piśmiennictwa naszego takim pożądanym nabytkiem.

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

Łaskawość losu. — Łatki na plecach kandydatów do Rady państwa. — Niagara w ustach grzecznej damy.— Rozmowa z p. Romanowiczem. — Złamany protest urzędników pocztowych. — Potrzeba pogodzenia ich z rzeczywistością. — Gratyfikacya. — Słówko za dziećmi Merkurego. — Niepożądane owacye. — Kto winien. — Modlitwa do nymf. — Maszyna. — Bąk naturalisty od „zielonego stolika.“

Jednakże los jest czasami na nas łaskawym. Dość powiedzieć, że ani ja, ani wy czytelnicy, ani tyle milionów polaków nie musiało ubiegać się o mandaty do Rady państwa z Galicyi. Boże, zmiłuj się nad Romanowiczem, Zaharyewiczem i Bilińskim, zmiłuj się nietylko nad niewybranymi, ale i wybranymi! Co ci ludzie dobrowolnie wycierpieć musieli! Wprawdzie korespondent nasz (w *Cudzych głosach*) wspomina delikatnie tylko o „łatkach,“ ale niestety były to takie „łatki“ jakie się wyszywa na plecach skazanym. Doprawdy musi ów mandat poselski być dziwnie słodkim, jeżeli ludzie dla niego narażają się na tyle goryczy. Gdyby mi zaofiarowano raj w stylu mahometańskim, z warunkiem, że przez kilka tygodni stać będę pod pręgierzem a każdy idyota, brutal, złośnik, a nawet „mąż poważny“ używa prawo w ciągu tego czasu do syta mi wymyślać, powiedziałbym: już ja wolę smażyć się na dyabelskiej patelni. Każdy z nas widział milutką w salonie damę, która tak samo zesznurowywa ustaja k gorset, na której języczku, niby kwiatki na łodyżce, zdają się wisieć tylko idealne słowa, a która w rozmowie z mężem lub służącą, zamienia się na taką Niagarę złorzeczeń, że przerażony zegar staje. Podobnemi damami są niektóre z naszych gazet. Gdy mowa o Zoli lub procesie córki Antonellego, przyzwoitość rzuca szkarłatną na ich twarz zasłonę; ale niech no przyjdą wybory! O, wtedy biedny, niepopierany kandydacie, gdybyś jak Absalon powiesił się za włosy, nie przebłagasz ich gniewu. Odetną cię z gałęzi i powieszą własnemi rękami na grubym powrozie, ażebyś się nie urwał. Dola ta spotkała właśnie wszystkich kandydatów galicyjskich do Rady państwa. To też jeżeli przyjemność przejechania granicy kosztować będzie, jak dotąd, rs. 10, a nie, jak głoszą gazety, rs. 160, odwiedzę Kraków i pozwolę sobie na małe *interview* z p. Romanowiczem, które prawdopodobnie odbędzie się w następującym dyalogu:

Ja Po co pan się boksujesz dla uzyskania mandatu?

P. Romanowicz Koło polskie w Wiedniu spruchniało, trzeba je wzmocnić... bo kraj grzęźnie w błocie.

Ja Ale cóż pan pomożesz, kiedy postawiłeś zasadę solidarności, a większość delegacyi pozostanie zawsze stańczykowską?

P. Romanowicz Przynajmniej słusznym potrzebom kraju „dam wyraz.“

Ja Dajesz im pan wyraz w *Nowej Reformie*.

P. Romanowicz Zatem według pana?..

Ja Zatem według mnie zaszczyt protestowania w Wiedniu nie wart jest tortury wyborczej we Lwowie, gdzie temu, co chce zbudować szkołę, zarzucają, że podpala kościół.

P. Romanowicz Przeciwnie — wart.

Ja W takim razie życzę panu, ażebyś co prędzej zasiadł w delegacyi, bo chociaż tem nie zbawisz kraju, zadowolisz jednak siebie.

Po za tą rozmówką wnoszę, ażeby p. Romanowicz był wolnym od obowiązku polegnięcia na polu bitwy. On tyle razy już poległ, zabity kulami agitacyi!

Z dwojga złego wolałbym być urzędnikiem pocztowym, niż konkurentem do poselstwa: pierwszy musi pracować jak wół, a dostaje jeść jak kanarek, drugi nie potrzebuje wiele pracować i ma co jeść, ale musi siedzieć na cenzurowanem i spokojnie wysłuchiwać komplimentów, które zapewne już „Pod trzema murzynami“ i na „Srebrnej sali“ przestały być w modzie. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, ażeby dola urzędników pocztowych usuwała potrzebę wszelkiej zmiany. Przeciwnie, sądzę, że należałoby ją pogodzić z podskakującą ceną mięsa i chleba. Przez pewien czas zdawało się, że bohaterski protest poczty przeciwko ustawicznemu podnoszeniu się kosztów życia zmusi drożyznę do ustępstw; gdy jednak nawet kartofle trwają w uporze, gdy nic nie tanieje na przekór skromnym pensyom pocztowym, należy zerwać z tradycyą i uledz konieczności. Niedalekie są czasy, w których nauczyciel gimnazyum pobierał 300 rs. rocznie i miał z czego przygotować posagi dla sześciu córek. Dziś tenże nauczyciel pobiera 900 rs. i przez całe lato chodzi w kaloszach, ażeby zakryć dziurawe buty. W podobnej mierze utrudniły się warunki życia innych pracowników; ponieważ zaś gdy ziemia się obraca i poczta wraz z nią się obraca, musi ona zatem podlegać wspólnym dla wszystkich prawom ekonomicznym, tj. posiadać lepsze uposażenie. Skąd zasiłek poczerpnąć — nie moja rzecz, wtrącę tylko drobną uwagę, że z samych funduszów na wydatki kancelaryjne, ciągle pomnażanych, dałyby się zaoszczędzić znaczne podwyżki dla najbiedniejszych, tem bardziej, że lak, papier i atrament utrzymują się w dawnej cenie. Tymczasem urzędnicy pocztowi otrzymali gratyfikacyę: w dnie świąteczne wolni będą częściowo od roboty. Ale co zrobią z pozyskanym czasem? Szczęśliwy, który gra w preferansa, może karta mu posłuży. Nie sądzę bowiem, ażeby złożyli się, kupili teleskop, postawili go na placu Dzieciątka Jezus i za opłatą pokazywali przezeń ciekawym plamy na słońcu i księżycu. Wątpliwy to interes!...

Skoro już nawet urzędnicy pocztowi otrzymali dyspensę na wypoczynek, to panowie właściciele biur handlowych mogliby się zdobyć na podobny podarek dla swych oficyalistów. Nikt nie przeczy, że pewne ich interesy wymagają natychmiastowego załatwienia bez względu na trzeci punkt dekalogu, ale pozostaje jeszcze dużo czynności nienaglących, bezterminowych, od których Merkury winienby oswobodzić swą czeladź raz na tydzień.

Ażeby trójca wymieniona w naszej prasie: *Przegląd Katolicki*, *Zwiastun Ewangieliczny* i *Izraelita*, nie przygotowała mi czasem dziękczynnego albumu za to wstawiennictwo, uprzedzam pomyłkę zastrzeżeniem, że nie idzie mi o napełnianie kościołów, zborów i bóżnic, ale o przypomnienie prawa wszystkich ludzi do tej przyjemności, której nawet Bóg biblijny sobie nie odmówił, gdy zmęczony stwarzaniem świata przez sześć dni siódmego odpoczął.

Kuryery znowu zburczały młodzież szkolną, która zlewa z paradyzu aktorkom oklaski lub sykania a nawet wyprawia im owacye na korytarzach i ulicy. Jakkolwiek w Poznaniu p. Modrzejewską ogłoszono publicznie „przewodniczką młodzieży polskiej,“ uragany paradyzowe na cześć panny A. lub B., a tem mniej żywe szpalery przedteatralne, śród których po widowisku przechodzą uśmiechnięte tryumfatorki, nie są rzeczywiście obrazem budującym, a nieraz są — powiedzmy szczerze — wstrętnym. Gromadka kilkunastoletnich chłopców, uwijająca się za ponętną aktorką, to zbyt przypomina zaloty — bądźmy delikatni — motyle. No, ale kto temu winien? Czy niedorostki, w których zbyt wcześnie budzą się miłosne popędy, czy owe boginie, które dla zapewnienia sobie klaki ich kuszą? Sądzę, że większej nagany warte rusałki teatralne, niż ci, którzy się dla nich topią. Bo przedewszystkiem się topią. Mały Amor, który może chwilowo uległ teatromanii i dopuścił się wybryku, zostaje wypędzony ze szkoły, podczas gdy jego Psyche nawet sobie paluszka w tym ogniu nie sparzy. Powtóro on nawet błądzi szczerze, ona wyzyskuje jego zapał obłudnie, bo chce zdobyć nie jego serce, lecz dłonie. Nakoniec on jest dzieckiem, ona dojrzałą kobietą. To są bardzo ważne powody, dla których dziennikarscy moralizatorowie „niebieskich mundurków“ winni z perorami zwrócić się do różnobarwnych spódniczek. Daję z siebie dobry przykład. Urocze nymfy! Niżej podpisany wielbiciel modli się do was o to: czybyście nie raczyły zaprzestać rzucania naiwnym młodzieńcom wdzięcznych uśmiechów i odjętych z gorsu kwiatów? Przecież to są dzieci, których wy nie kochacie, ale kochają je rodzice, oblewający nieraz krwawemi łzami skutki owych uśmiechów i kwiatków. Dajcie pokój temu uwodzeniu, które wam nie przynosi zaszczytu, a innym sprawia boleść. Jeżeli zaś potrzebujecie koniecznie obstalowanych oklasków, i temu łatwo zaradzi p. Faber. Skoro wynalazł maszynę mówiącą, tem łatwiej wynajdzie klaszczącą. Postawimy ją na paradyzie, wynajmiemy do niej osobnego człowieka, który będzie obowiązany pilnować wejścia na scenę artystki i kręcenia przez pewien czas korbą instrumentu, objawiającego zapał. I wilk teatralny będzie syty i owce szkolne — całe.

Tak wierzę w czułe serca cór Melpomeny, że spodziewam się ich niewątpliwej na

ten pomysł zgody. Jeżeli zaś mój głos dochodzi do młodych latorośli owego szpaleru aktorek, to wołam do nich: mali przyjaciele, nie poniżajcie się; lepiej żeby wam dłonie popuchły od rozbijania kamieni na szosie, niż od klaki w teatrze.

„Lepiej sobie ostem...“ przepraszam, nie mogę dokończyć, co jest według Rabelais'go lepszem, niż „mówienie o rzeczy, o której się niema najmniejszego pojęcia.“ Rady tej nie zna zapewne jedno z pism, które w niedorzeczny sposób ubliżyło *Pamiętnikowi Fizyograficznemu*. Szczytem lekkomyślności jest twierdzenie gazetki, że rozprawy tego wydawnictwa są pisane „przy zielonym stoliku.“ A więc: znakomita rozprawa Chałubińskiego o mchach tatrzańskich, pomiary jezior p. Dziewulskiego, meteorologiczne spostrzeżenia p. Jędrzejewieza itd. to są prace, dokonane „przy zielonym stoliku.“ Zieloności w tej uwadze jest rzeczywiście dużo, ale nie na stoliku uczonych, tak dużo, że chociaż odebraliśmy kilka dowodowych replik, uważamy za zbyteczne robić obławę na bąka. Gdyż jest to po prostu bąk reportera, który prawdopodobnie nigdy *Pamiętnika Fizyograficznego* nie widział, a kraj swój badał przy... „zielonym stoliku.“

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Lord Byron, baron Miklucha i Gaz. Polska. — „Przedsmak nicości“ i oblężenie gubernii lubelskiej. — Mały udział wielkiej własności i baranina na chłodno.—Gospoda ludowa i gospodarz ludowy w Rykach. —Zaradność Lublina i Łodzi. — Prośba do księdza.

„I wiem, że kimbyśkolwiek był
Lepiej by dla ciebie było, gdybyś nie żył.“

Tak powiedział kiedyś lord Byron, za lordem powtórzył br. Miklucha a za baronem—*Gazeta Polska*. Baronowi po zażyciu opium udało się skosztować „przedsmaku nicości,“ która ma być tak ponętna, że kto jej raz sprobował, ten „wiecznie za nią tęsknić będzie.“ Święta prawda — my tę rozkosz nicości odczuwamy całym naszym kilkunastomilionowym podniebieniem.... Myśli nasze „plączą się tak leniwo, powolnie — czasem nawet wcale się nie poruszają.“ Miękkie krzesło tradycyj tak jest wygodne, że się ruszyć nie mamy ochoty, a chociaż niekiedy jakieś stare jego sprężyny sprawią nam niemiłe drapanie, to pocieszamy się zaraz przedsmakiem „błogiej nicości.“

Szczególnie musi z tego powodu mlaskać językiem cała gubernia lubelska. Przed rokiem jeszcze gubernator miejscowy wydał okólnik, przypominający gminom ich prawo wybierania sobie pisarzów. Skutki tej pożądanej odezwy rozpłynęły się w „błogiej nicości...“ Nie zrobiono nic ku poprawie stosunków gminnych. Owoce Nirwany słodkiemi są głównie dla „wielmożnych pisarzów,“ którzy po dawnemu dzierżą w swej dłoni losy ciemnego pospólstwa. Szczęśliwe osobniki! Jak one umieją *obchodzić* wszelkie niedogodne przepisy. Gdybym nie był pisarzem „Perspektywy,“ chciałbym być pisarzem gminnym. Gazety nasze, opowiadające o tem oblężeniu gubernii lubelskiej przez mało satrapiątka—utyskują na słaby udział wielkiej własności w sprawach wiejskich i wogóle w naszem życiu społecznem i umysłowem. Zupełnie takie same wyrzuty robiłem pewnej „własności,“ u której przez kilka dni używałem widoku... chudych szkap i brudnych Maćków Gospodarz mój uśmiechnął się łagodnie i rzekł: „Od czasu opuszczenia 3 klasy gimnazyum, do czego skłoniła mię moja dzisiejsza połowica — dwa razy tylko miałem pióro w ręku: raz, kiedy mi żona kazała smarować żółtkiem jakieś placki, a potem, kiedy, zgubiwszy drewnianą wykałaczkę, musiałem wydobyć z pomiędzy zębów kawałek zimnej baraniny... Czy pan to lubi?“

— Co — nieuctwo?

— Nie, baraninę na chłodno...

I zaczął mówić o baraninie. Domyśliłem się wtedy, jakie mięso tamuje nasz rozwój...

Obowiązki literata są czasem nieznośne. Teraz np. przeszkadzają mi stanowczo w zrobieniu jeżeli nie karyery — to majątku. Nietylko, że nie mogę zostać „przewodnikiem gminy,“ ale nie mam możności założenia nawet nędznego szynku np. w Rykach (w żelechowskiem). Czytelniku, „czy znasz ten kraj?“ Tam to jest raj!—zwłaszcza dla miejscowego proboszcza, a głównie dla szynkarza. W raju tym „drzewo poznania dobrego i złego“ ścięto i nie wrzucono go na ogień, ale zbudowano z niego rzetelną karczmę. I stało się, iż właściciel tego zakładu, vulgo szynkarz, zapanował nad całem pokoleniem Wojtkowem. Ustanowił on we wsi 26, wyraźnie *dwadzieścia sześć* jarmarków, których liczba w ciągu roku wzrasta zwykle do 36. Ten przybytek jarmarków od którego przemyślna głowa *nie boli*, pochodzi stąd, iż karczmarz wyznacza *dodatkowe* zjazdy „małych obywateli“ skoro tylko *etatowe* ich zgromadzenie nie przyniesie mu pożądanych zysków. Można sobie wyobrazić, jak tam wesoło jest w tych Rykach, jak z tych licznych zebrań i służba boża, i panowanie propinatora korzysta! W miłem ustroniu wiejskiem jest nawet, kosztem dziedzica postawiona, „gospoda ludowa...“ Chłopi mogą korzystać z widoku jej zamkniętych drzwi, których „gospodarz ludowy“ nie życzy sobie otwierać...

Lublinianie budzą się do życia. Myślą oni o urządzeniu letnich kolonij dla swoich małych biedaków. Na początek starań dr. Doliński i Janiszewski wygłosić mają a następnie wydrukować dwa odczyty o potrzebie i pożytku takich instytucyj, a dochód ze sprzedaży broszury przeznacza się na korzyść maluczkich.

Zupełnie inaczej ze swemi maluczkimi radzi sobie „nasz Manchester.“ *Sto trzydzieści sześć tysięcy* mieszkańców Łodzi uskarża się teraz w prasie na brak gimnazyum klasycznego. Skargę tę polecam uwadze... belgijskiego towarzystwa tramwayów. Obłożywszy każdego mieszkańca podatkiem w ilości jednej złotówki rocznie, można będzie i gimnazyum utrzymać i jeszcze dobry zrobić interes.

Na zakończenie poproszę pewnego księdza z Podlasia, aby nie skarżył swoich wychowańców za to, że czytają pisma postępowe i aby się pilniej uczył... arytmetyki. Jeżeli ci bowiem „*sto procent* odpadnie od katolicyzmu“ kochany księże, to „reszty“ wcale nie „wystarczy,“ gdyż *żadnej reszty wtedy nie będzie.*

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 kwietnia.

Walka dynamitowa irlandzka przeciw uciskowi Anglii. — Nowe aresztowania fenienów. — Kongres socyalny w Kopenhadze i aresztowanie połów sejmu niemieckiego. — Wykład profesora Wagnera w Wiedniu i polityka socyalno-polityczna Austryi. — Walne zgromadzenie Towarzystwa pokoju. — Areopag międzynarodowy.

Odgłosy zaciętej walki fenienow przeciwko Anglii napełniają obie półkule. Gwałtowne mowy patryotów irlandzkich w Nowym Yorku wywołały dyplomatyczne zabiegi ze strony ambasadora angielskiego przy rządzie waszyngtońskim, w celu poskromienia groźnej agitacyi. Na odezwę p. Sekwila odpowiedział rząd Unii amerykańskiej, że nie widzi żadnej podstawy do występowania przeciwko przywódcom irlandzkim i że kierować się będzie względem t. z. przestępców politycznych temi samemi zasadami, których trzymała się zawsze Anglia i wszystkie państwa cywilizowane. Wogóle kroki dyplomatyczne Anglii, mające na celu wydawanie winowajców politycznych i utworzenie policyi międzynarodowej przeciwrewolucyjnej, spotyka ten sam chłód i obojętność, z jakiemi dumny rząd brytyjski traktował dawniej podobne propozycye do niego zwracane.

Za to policya angielska na własnem terytoryum czyni największe wysiłki wśledzeniu działalności spiskowców i min dynamitowych. Po pochwyceniu w Liverpolu na parowcu wielkiej paki z ładunkiem dynamitu i przytrzymaniu osób podejrzanych, odkryto w Duwrze usiłowanie wysadzenia w powietrze całej stacyi kolei żelaznej. a w Birmingamie fabrykę dynamitu. W Korku, Glasgowie i wielu innych miejscowościach pochwycono liczne paki i ładunki materyj wybuchowych, z któremi mi kręci się wszędzie pełno agentów rewolucyi irlandzkiej. Nie ma dnia, aby nie aresztowano osób podejrzanych, a znajdowane przy nich papiery świadczą o ich bezpośrednim związku z przywódcami ruchu amerykańskimi. Wszystko to wywołuje w Anglii coraz większy zamęt, rozdrażnienie przeciwko Irlandyi wzrasta niesłychanie, a w całym tym chaosie prawodawcze prace parlamentu schodzą w cień zupełny.

Niemałe także wzburzenie wywołało w Niemczech świeże pogwałcenie nietykalności posłów do sejmu państwa, powracających z kongresu w Kopenhadze. Jeszcze przed otwarciem socyalistycznej narady policya niemiecka usiłowała sparaliżować ją. Zauważono nagle nieobecność najważniejszych osobistości, które miano na oku i szukano ich najprzód w Szwajcaryi. Tymczasem członkowie kongresu zebrali się w Danii. Przedmiotem rozpraw były głównie reformy społeczne Bismarka i porozumienie się co do wspólnego działania przeciwko kapitalizmowi. W kongresie wzięło udział siedmdziesięciu kilku delegatów stowarzyszeń socyalnych niemieckich i zinnych krajów. Postanowiono przytem wznieść pomnik niedawno zmarłemu, głośnemu ekonomiście i przywódcy Marksowi.

Powracających z Kopenhagi posłów niemieckich aresztowali w Kielu agenci policyi berlińskiej, w przypuszczeniu, że znajdą przy nich ważne papiery kompromitujące; gdy jednak nic nie wytrząśnięto z kieszeni, prokurator i sądzia śledczy wydali rozkaz uwolnienia. Równocześnie jedyny z obecnych na posiedzeniu sejmu poseł z grupy socyalno-demokratycznej Rittinghausen interpelował prezesa w tej sprawie, na co otrzymał dość ciężką odpowiedź, powołującą się na liczne formalizmy. Następnie poseł Kayser wystąpił z wnioskiem, aby urzędnicy, którzy wbrew art. 31 konstytucyi aresztowali posłów poddani zostali odpowiedniej karze. Mówca wykazywał, że gdyby podobny los spotkał wszystkich posłów grupy socyalno-demokratycznej, to rezultat głosowania w bieżącej kwestyi cel byłby zupełnie zmieniony i że jeśli tak dalej rzeczy pójdą w Niemczech, to najważniejsze ustawy i sprawy państwa nie będą rozstrzygane przez przedstawicieli narodu, lecz przez agentów policyi.

W prasie austryackiej bardzo szerokie zajęcie wywołał wykład profesora Wagnera, wypowiedziany w wiedeńskim klubie naukowym o reformie podatków i polityce socyalnej. Uczony ten jest jednym z najznakomitszych przedstawicieli polityki społecznej, ekonomicznej i finanso-

wej, jaką w czynie reprezentuje Bismark. Wyznaje on zasadę, że państwo ma nietylko prawo, ale i obowiązek wkraczania w sprawy wytworu i rozdziału dóbr oraz wprowadzenia takiej organizacyi państwowej na każdem polu, ażeby większość politycznie i ekonomicznie słabszych nie była celem wyzysku dla mniejszości silniejszej; przedewszystkiem zaś, aby nowożytne państwo i społeczeństwo nie były narażone na zgubne następstwa, gdyby wobec siebie zawsze stały dwa tylko czynniki: z jednej strony uparta zasada fałszywego, egoistycznego liberalizmu „laissez faire“ — a z drugiej rewolucya socyalna. Wywody Wagnera były programem skierowanym przeciwko oligarchii i wyłącznemu panowaniu wielkiego kapitału, bankierstwa i wogóle mieszczaństwa. Wobec tego wiele dzienników wiedeńskich, zostających na żołdzie tych właśnie żywiołów, wystąpiło gwałtownie przeciwko niemieckiemu profesorowi. Dowiedziały się one rzeczy wprawdzie nienowej, ale wypowiedzianej przez powagę ekonomiczną, że gospodarka hegemonii niemieckiej w Austryi przedstawia się w najgorszem świetle, że obok niesłychanego przeciążenia podatkami całej ludności, są prowincye i narodowości, które całemi pokoleniami służyły tylko do eksploatacyi dla garstki uprzywilejowanej. W Austryi są istotnie prowincye, które przeszły straszne męczeństwo polityczne i ekonomiczne obok takich, które żyły z wyzysku pierwszych. Tym duchem też przesiąkło całe prawodawstwo austryackie, tchnie nim uciążliwy fiskalizm i wszystko, co się tam nazywało przez długie wieki polityką finansową, ekonomiczną i społeczną.

Licznie rozpowszechniane odezwy socyalno-rewolucyjne w Wiedniu i straszne morderstwo, spełnione świeżo na osobie hr. Majlatha, prezesa t. zw. Izby panów w Peszcie, są ponurą ilustracyą obecnych stosunków Austryi.

Na tle tej powszechnej rozterki społecznej i walk niewesołych, toczonych przez warstwy niezadowolone, występuje pogodnie uroczystość doroczna walnego zgromadzenia „Towarzystwa pokoju“ w Paryżu, a mowa jej prezesa brzmi jak pieśń pasterska wśród wrzawy bojowej. W poważnem tem zgromadzeniu wzięło udział wielu senatorów, posłów sejmu, członków akademii, mnóstwo towarzystw wpływowych oraz delegatów departamentów i liczna publiczność. Prezes zgromadzenia p. A. Frank wykazywał osiągnięte już zbawienne postępy prawa międzynarodowego i konieczność rozstrzygania sporów międzypaństwowych przez areopag odpowiednio uorganizowany. Zasada takiego sądu została już w traktacie paryskim teoretycznie wypowiedziana i odtąd wielokrotnie częściowo była stosowana w praktyce. Parlamenty Anglii, Włoch, Belgii, Holandyi, Stanów Zjednoczonych i Kanady oświadczyły się za takiem sądem najprzychylniej. Francya teraz do ich głosu swój dołącza. Walne zgromadzenie „Towarzystwa pokoju“ uchwaliło dwa adresy do sejmu i do senatu, wzywające te ciała reprezentacyjne, aby popierały wszelkie usiłowania dążące do ustanowienia ogólnego areopagu międzynarodowego.

Szkoda, że to tylko... rojenia.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Zagrzeb — „Rusi.“ Redaktor moskiewskiego tygodnika jest, jak wiadomo, przeciwnym zbytniemu—wedle niego — indywidualizowaniu się ludów słowiańskich. Niezadowolenie z tego „różniczkowania“ wyraził p. Aksakow także w artykule „Chorwaci i serbowie,“ pomieszczonym w nr. 5 *Rusi* z b. r. W obszernym wstępie mówi on wogóle o słowianach i zauważa między nimi ów właśnie „niebezpieczny“ prąd do wyosobniania się, czego przyczyną ma być nietyle charakter naszego szczepu, ile niewola, w której większość ludów słowiańskich żyje od pierwszych wystąpień na widowni dziejowej. Gdy zaś nadeszła doba przebudzenia się, ujrzeli słowianie, że podzieleni są na kawały między różne mocarstwa, przyczem każda cząstka snuła urocze marzenia o wznowieniu dawnej sławy i siły. Stąd zrodziły się spory o granice, o prawa historyczne do tej lub owej ziemi, stąd nieporozumienia między serbami a bulgarami, między serbami a chorwatami itd. Mimo to poczucie jedności między słowianami nie ostygało wcale. Żywiołem łączącym i wzmacniającym świat słowiański jest—mówi p. A.—Rosya, samo jej nawet imię. „Odejmijcie Rosyę Słowiańszczyźnie a słowianie zaginą.“

„W ostatnich czasach — powiada dalej *Ruś*—szerzy się między zachodnimi słowianami idea, że Austrya przetworzy się w rzeszę słowiańską. Myśl ta znajduje zwolenników w Czechach, gorliwie rozszerzaną jest między polakami a sztucznie pomiędzy słowianami południowymi. Przeobrażenie się atoli Austryi w państwo słowiańskie byłoby niedorzecznością.“

Zaczepiwszy o słowian południowych, rozbiera p. A. stosunek serbów do chorwatów, przyczem oczywiście sąd *Rusi* o katolikach trójjedynego królestwa nie wypadł wcale na ich korzyść. Odpowiada nań *Pozor* zagrzebski w ten sposób:

„Jest nam nieskończenie miło, że w Rosyi—a zwłaszcza wielki i mocny Iwan Aksakow — zajmują się stosunkami i sprawami słowiańskiemi a nawet chorwackiemi. P. A. znany jest jako przyjaciel słowian i gorliwy obrońca wszystkiego, co prawosławne i bizantyjskie. My mu tam nie bierzemy tego za złe, przykro nam tylko, że musimy skonstatować, iż w wielu zagadnieniach historycznych, społecznych i politycznych zdradza nieznajomość rzeczywistego stanu rzeczy. Gdyby rosyanie przed krymską wojną, przed 1863 a bodaj jeszcze przed berlińskim kongresem w tej mierze zajmowali się stosunkami słowiańskimi, jak to czynią obecnie, i oni i my lepiej byśmy stali dzisiaj; sprawy tej nie brali oni, niestety, zbyt gorąco do serca. Ponieważ zaś teraźniejsze—w każdym razie chwalebne—stadyum slawizmu u rosyan jest jeszcze bardzo młode, i ponieważ przesądy religijne u wielu i u p. Aksakowa są jeszcze wielkie i silne, niema się czemu dziwić, jeżeli w „Rusi“ znajdzie się jaki sąd powierzchowny albo jednostronny.

Coby powiedział p. A. —mówi dalej Pozor — gdybyśmy stosunki rosyjskie sądzili na podstawie pism niemieckich albo węgierskich? My w ten sposób nie postępujemy, ale tak postępuje p. A., gdy się opiera tylko na serbskich źródłach i cytuje tylko *Srbski list*, A jest to przecież organ mnichów prawosławnych, który narodził się za Rodicia. Jenerał ten umiał rozdmuchiwać ogień nienawiści między katolikami a prawosławnymi w Dalmacyi. Rozdwojeniem tem przygotował Rodić grunt pod najświeższe giermanizatorskie zakusy jen. Jovanovicia w Dalmacyi, które ten ostatni wprowadza w życie przy poklasku *Srbskiego listu*. A co znaczy giermanizacya Dalmacyi, idąca równolegle z niemczeniem Bośnii i Hercegowiny, tego—zdaje nam się—nie potrzebujemy objaśniać p. Aksakowowi. Co się tyczy okupacyi Bośnii, tośmy już wielokrotnie oświadczyli, że Chorwacya w dziele tem nie miała wpływu najmniejszego, ale że Austrya zajęła ją za przyzwoleniem Rosyi. Jeżeli zaś chorwaci iluminowali miasta swoje, gdy austryacy zdobyli Serajewo, to uczynili to samo przecież i wtedy, gdy padła—Plewna.“

Drang nach Osten. Pod takim tytułem—jak notuje *Gazeta Warszawska* —zamieszczają *St. Petersb. Wiedomosti* następujące rozpamiętywanie:

„Nieraz już zaznaczaliśmy powolny, lecz nieustanny napływ niemców do naszych prowincyi zachodnich oraz ich dążności giermanizacyjne, dziwiąc się obojętności rosyan na własny interes. Serce nam się ściska, gdy widzimy, iż W. Ks. Poznańskie jest już prawie zgermanizowane, język niemiecki jako wykładowy wprowadzony do wszystkich szkół, a religia katolicka o ile możności usuwana. Gdyby rosyjski organ urzędowy miał śmiałość wypowiedzieć, że wszyscy niemcy, będący poddanymi niemieckimi, muszą znać język rosyjski, powstałby w obozie teutonów ogromny krzyk ne „północnych barbarzyńców,“ zagrażających cywilizacyi Europy. Tymczasem prasa urzędowa berlińska wręcz oświadcza, że ludność polska w Poznańskiem winna się wyrzec swej narodowości i religii i przerobić na teutonów. Jest to domowa polityka naszych dobrych sąsiadów, polityka istniejąca od dawna i przed nikim nieukrywana. Otóż gdy teraz niemcy i na nasze prowincye zachodnie sieci zapuścili i bez wojny je zdobywają, za pomocą fabrycznych twierdz i dóbr kupowanych masami, prasa rosyjska milczeć dłużej nie może, gdyż byłoby to występkiem.“

Frazes o frazesie. Przebieg ostatniej akcyi wyborczej we Lwowie skreśliliśmy na innem miejscu. W korespondencyi ze Lwowa (z powodu braku miejsca niezamieszczonej w dzisiejszym numerze Red.) zaznajomimy czytelnika z osobami i programami ubiegających się o opróżnione po dr. Wolskim krzesło w Radzie państwa kandydatów. Jak zwykle, wszyscy z przeciwnych obozów otrzymali jakieś łatki — najwięcej nalepiono ich na Romanowiczu. Strzał jednak w końcu brakło. Wtedy *Czas* do innego sięgnął kołczana. Pobożnemi szermujący słowami mnich krakowski powiedział, że polityczne wyznanie wiary p. Romanowicza jest niczem więcej, tylko— frazeologicznym popisem. Zapomniał biedak, że miecz, którym się posłużył, jest obosiecznym. Nie myślimy w zupełności bronić *Czasowego* potępieńca, posłuchajmy jednak, jak on się sam broni.

„Z widocznem upodobaniem — pisze Nowa Reforma—walczą stańczycy zarzutem: frazes. Ilekroć zostaną przez kogoś zaatakowani, ilekroć któryś z ich przeciwników wystąpi z niemiłemi stronnictwu temu hasłami — zaraz go ochrzczą mianem frazesowicza, a zamiast walczyć z jego myślami, odtrącają je jako frazesy. Zarzut to możliwie — najdogodniejszy... Raz dlatego, że uwalnia od wszelkiego wytężania myśli na zwalczanie argumentów argumentami, skoro je można tak łatwo zwalczyć—frazesem o frazesie. Wygodny powtóre dlatego, że do wszystkiego da się zastosować. Wszelka bowiem polityczna prawda i zasada, wszelkie polityczne hasła czy prawidła postępowania, wszelki program polityczny—czemże się ostatecznie wyraża? Frazesem. Jest nim przecież zarówno przez *Czas* wypowiedziane zdanie, że słowa „Przy tobie stoimy i stać chcemy“ są jedynym programem Koła polskiego, jak i nasze twierdzenie, iż Koło, jako wyraz kraju, mieć musi swój własny t. j. krajowy a wyraźny program, swoją własną wolę, jako wyraz woli kraju. Chcąc też ustrzedz się zarzutu frazesowiczowstwa, trzebaby albo przestać mówić i myśleć o polityce, coby naszym przeciwnikom bardzo na rękę, bo sami zostaliby na polu walki, albo przystać do nich, bo wtedy wybaczą oni każdy frazes, byle on był po ich myśli, albo nakoniec w politycznem działaniu i myśleniu pozbyć się wszelkiej zasady, bo ona zawsze nazwana być może — frazesem.“

Brak ogniska, w któremby się skupiało polityczne, literackie i towarzyskie życie rusinów galicyjskich, przewodnicy ludu tego uczuwają w stopniu niemałym.

„Jest to dla nas — mówi Diło — ze wszech miar niekorzystnem, że nie posiadamy jakiegokolwiek centra, w któremby puls życia naszego narodowego bił nieco żywiej. „Stolica“ nasza jest nią tylko z imienia. Czy przy wyborach, czy przy solidarnem wystąpieniu w jakiejbądź sprawie, ciężko nam przychodzi poruszać „wszystkich“ rusinów, bo siły nasze po całym kraju rozproszone.“

W tym samym artykule krytykuje *Diło* nader surowo wynik dotychczasowej akcyi politycznej rusinów halickich. Jest to pocieszający obraz autokrytycyzmu i częściowe zerwanie z metodą zwalania całej winy obecnych stosunków na „sąsiadów.“

„Nas, powiadają – ciągnie dalej Diło—popierał kiedyś rząd. Mieliśmy nawet jakieś znaczenie i dosyć liczną reprezentacyę własną. Czy umieliśmy jednak wyzyskać należycie dogodną chwilę, czy zdołaliśmy uzyskać trwałą rękojmię dalszego rozwoju naszego narodowego życia? Czy umieliśmy stworzyć sobie

stały grunt pod nogami?.. Rząd nas teraz opuścił a my stoimy bezradni, bez dostatecznej organizacyi. Nasze polityczne siły rozstrzelone; ogół chyba w czasopismach widzi jaki taki znak pracy naszej na niwie politycznej. Siły nasze naukowe po prostu zniszczały — marnie giną... Alboż my zresztą wiemy, co mamy?... Nasi uczeni rozproszyli się po całym świecie. Sił naszych społecznych ani nie widać a towarzyskie życie nader słabo jeszcze rozbudzone. W niejednej okolicy naszej ziemi ledwie że jaki taki słyszeć się daje odgłos życia.

Ale to wszystko — pociesza w końcu — nie znaczy bynajmniej, aby nie było u nas sił, potrzebnych do dalszego rozwoju. Trzeba je tylko rozbudzić, zorganizować i stosownie użyć. Toż za nami przecie 3 miliony narodu! Zbliżmy się tylko do niego, połączmy się z nim a wrogowie nasi pewno nie będą śmieli głosić przed światem z przekąsem: „lud ruski opuszcza już swoich prowodyrów.“

W SPRAWIE ZAPISU SIERAKOWSKIEJ.

(Odpowiedź *Korespondentowi Płockiemu*).

Otrzymawszy dosłowne brzmienie decyzyi ministeryalnej, składamy dowód. *Korespondent Płocki* w nrze 94 z r. 1881 (który nam posłużył za podstawę) wyraził się tak: „Zarządcy zapisu dobroczynnego ś. p. Sierakowskiej... ogłosili postępowanie spadkowe, przeprowadzili przez wszystkie instancye sądowe — udając się nawet do departamentu kasacyjnego Senatu w Petersburgu — kwestyę wynikłą co do objęcia w posiadanie spadku, zwracali się nadto z właściwem zapytaniem do ministra spraw wewnętrznych, który pod datą 14 czerwca r. 1878 za nr. 5075 *oświadczył, iż nic do nadmienienia w tym względzie niema.*“ W objaśnieniu tem tkwią dwa błędy: 1) do ministra spraw wewnętrznych zwracali się nie wykonawcy zapisu, ale gubernator płocki w imieniu Rady dobroczynności publicznej; 2) minister spraw wewnętrznych nie zgodził się, lecz odmówił. Cytowana przez *Koresp. Pł.* odpowiedź ministeryalna brzmi tak: „Zważywszy, że wykonawcy testamentu zwrócili się do płockiej Rady dobroczynności publicznej z prośbą o przyjęcie wspomnianego zapisu Sierakowskiej, przedstawiasz Pan (gubernator) zgodnie z postanowieniem Rady okoliczność tę do mojego uznania. Skutkiem tego poczytuję sobie za obowiązek uwiadomić JW. Pana, że (motywacya)... z mojej strony uważam za konieczne *odrzucić* (otkłonit) prośbę wykonawców zapisu Sierakowskiej o przyjęcie przez Radę na siebie obowiązku spełnienia woli testatorki co do wydawania dożywotnich pensyj i zapomóg, gdyż podobna działalność nie wchodzi w zakres zadań, włożonych na Rady itd.“

A zatem minister spraw wewnętrznych *odmówił* upoważnienia płockiej Rady dobroczynności publicznej do przyjęcia obowiązku spełnienia części woli Sierakowskiej, według *Korespondenta Płockiego* zaś „oświadczył, iż nic do nadmienienia w tym względzie niema.“ Okoliczność zaś ta zmienia zupełnie charakter wystąpienia spadkobierców. Bo skoro część testamentu nie mogła być wykonana, a skutkiem tego poważne sumy, powstrzymane od swego przeznaczenia, prawdopodobnie uległyby niepożądanemu losowi, spadkobiercy mieli moralną racyę wystąpić ze swemi prawami, tem bardziej, gdy tym sposobem chcieli dopełnić wolę testatorki na użytek publiczny. Jeżeli zatem należy ich czyny sprawdzać i sądzić obywatelską miarą, to nie od chwili podniesienia przez nich pretensyi, ale od chwili odzyskania wyprocesowanego dziedzictwa. Patrzyliśmy na ten sam wypadek z zapisem Wołłowicza, a jednakże przyznaliśmy słuszność jego spadkobiercom. Po za krytyką ciekawi jesteśmy usłyszeć pozytywną radę *Korespondenta*: co robić wtedy, gdy u nas zapis filantropijny w całości lub części nie może być wykonany? jak go uratować dla społeczeństwa? My znamy tylko jedną drogę: prawa i dobrą wolę spadkobierców.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ustawy. *Prawit. Wiestnik* ogłasza rozporządzenie, na mocy którego w guberniach nadbałtyckich prośby, podania i inne dokumenty mają być przyjmowane w językach: rosyjskim, niemieckim, łotyskim lub estońskim.

Odczyty. Sprawozdanie z wykładów o Rafaelu oraz przyrodniczych na dochód kasy imienia Mianowskiego, z powodu braku miejsca, podamy w numerze następnym.

Doktoryzacya. P. L. Wolberg po obronie rozprawy „O krytycznem i doświadczalnem badaniu nad zrywaniem się i odradzaniem nerwów,“ otrzymał w uniwersytecie warszawskim stopień doktora medycyny.

Teatr polski w Petersburgu musiał zawiesić swe przedstawienia. Jego aktorzy rozproszyli się za chlebem.

Bibliografia polska. Zeszyt marcowy *Biblioteki najc. utw. lit. eur.* zawiera: dalszy ciąg *Komedyi ludzkiej* Balzaca, *Dahijszczyzny* Jeża, *Dziejów lit. pow.* oraz poezye A. Morsztyna.

Bibliografia niemiecka. W Lipsku zacznie wychodzić pod redakcyą F. Techmera i przy współudziale najznakomitszych sił lingwistycznych *Internationale Zeitschrift für Allgemeine Sprachwissenschaft.* Dlaczego w spisie pracowników nie spotykamy ani jednego polaka i wielu uczonych słowiańskich, trudno pojąć. Przecież *Zeitschrift* będzie *internationale* i redagowane „bez względu na narodowość, stronnictwo lub szkołę!“

Zmarli: Dr. J. T. Nowakowski w Warszawie, autor rozpraw i tłomacz kilku dzieł lekarskich.

— L. Veuillot, słynny zapaśnik ultramontański i redaktor pisma *Univers* w Paryżu.

— M. Herbel, pisarz rosyjski w Petersburgu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stałemu prenumeratorowi. Teorye Comte'a, Darwina, Milla, Spencera, Taine'a, niepodległość badania w nauce, demokratyzm w stosunkach społecznych itd. Co da drugiego pytania: dzieła przyrodnicze (ogólniejszej treści) w połączeniu z filozoficznemi i historycznemi składają się na dzisiejsze wykształcenie humanitarne. Tytułów książek wymieniać nie możemy, gdyż zajęłyby one zbyt wiele miejsca, a przytem nie wiemy, jakimi Pan rozporządza środkami językowymi.

P. R. H. w Żytomierzu, K. R. w Dz. i F. Z. G. w Łukowie. Dzisiejsze ogłoszenie objaśnia.

P. F. Z. Formalnie dotrzymuje słowa, przedmiotowo je łamie, gdyż przez czytanie (w wypadku panów) rozumiano nietylko wodzenie oczyma po zadrukowanym papierze, ale również przyswajanie sobie treści. Podany wybieg byłby podobny do sławnego wyroku Inkwizycyi, która przyrzekłszy, że podsądnemu *włos z głowy nie spadnie*, kazała więźnia... spalić. Formalnie była w porządku, istotnie zaś dopuściła się wiarołomstwa.

P. D. Pel. w Petersburgu. Nr. 1 i pierwsze arkusze Brandesa wysyłamy. Nr. 2 *Prawdy* wyczerpany.

Pp. E. K. w Głębokiem, A. R. we Włodawie, Serafinie M. Zwracamy uwagę na poniższe ogłoszenie.

P. M. B. w Kiszyniewie. Nr. 1 wysyłamy, 2 i 3 wyczerpane.

P. St. Pr. w Kijowie. Numery wysłane. Co do Langego wydawca odpowie.

Wielb. Podobno *Oj. Mak.* w *Otieczestwiennych Zapiskach.*

P. W. R. w Symferopolu. Słownik taki rozpoczęła właśnie wydawać zeszytami księgarnia Lesmana i Świszczowskiego.

P. A. Kl. w Charkowie. Wysłano.

P. Jar. w Odessie. Wyczerpane — *Męcz. myśli* posyłamy.

OD ADMINISTRACYI PRAWDY.

Szan. abonentów, którzy spóźnili się z przedpłatą na kwartał I, mamy zaszczyt uwiadomić, że nra 2 i 3 PRAWDY są wyczerpane i dla tego dostarczyć ich nie możemy.

OFIARY.

Dla biednych do uznania redakcyi J. Z. rs. 5.

Na wpis dla biednych uczniów. Bezimienne rs. 10.

Na pomnik Mickiewicza. J. Ż. rs. 1, H. S. i E. W. rs. 1, F. Z. Gruszczyński rs. 1.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Апрѣля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.